

Przeglądnik dla Kobiet

PISMO

BELLETRYSTYCZNE I NAUKOWE.

WYCHODZI W POZNANIU CO DRUGĄ SOBOTĘ.

Rok II.

— Poznań, 15 października 1881. —

Nr. 2.

W Poznaniu prenumerować można tylko w redakcyi, Piekary 16. Oplata kwartalna wynosi 3 marki, półroczna 6 mrk., roczna 12 mrk. z dostawieniem egz. do mieszkania. Na prowincyi, w Prusach Zach., oraz w całym państwie pruskiem i w Niemczech prenumeratę kwartalną przyjmuje każda poczta, roczną lub półroczną tylko sama redakcyja; kwartalna wynosi 3 m. 50 f., półroczna 7 m., roczna 14 m. z przesłaniem egz. na miejsce.

Przedpłata dla Galicyi wynosi rocznie 8 zlr., półrocznie 4 zlr., ćwierćrocznie 2 zlr., za co się przesłała franko. Zapisywać można albo wprost w redakcyi, albo w księgarniach:

S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie i w Księgarni Polskiej we Lwowie.

Inseraty przyjmują się w redakcyi za opłatą 30 f. od wiersza dwulubowego.

ŻÓŁTA OKŁADKA.

Temu lat kilka wyszła komedyjka w języku francuskim — nie wiem już, pod jakim tytułem. Młoda panienka, ładna i majątna, co nigdy nie zawadzi, wychowana przytem pobożnie i skromnie, powraca z pensyi. Rodzice chcą ją wydać za mąż, a przyjaciółka domu pośredniczy, jak to się często dzieje, nietylko we Francyi. Między jej krewnymi był młodzieniec ładnego położenia towarzyskiego, świetnych zdolności, słynny z powodzeń w salonach, ale niestety także z niedowiarstwa. To ostatnie jednak rzadko uważają za przeszkodę w projektach małżeńskich — i to również nietylko we Francyi. — Wspólna przyjaciółka układa zbliżenie młodych ludzi w domu rodziców panny. Młodzieniec gotuje się na to spotkanie z bijącym sercem: wspomnienia lat dziecinnych powracają gwałtem, terazniejsze zabawy, upodobania, wzbudzają w nim nagle wstręt jakiś, dawne teorie nawet nie zdają mu się tak pewne, jak dotąd, i — ubrany według ostatniej mody, wchodzi do salonu. — Nie zastaje nikogo, rodzice usunęli się umyślnie, żeby dać młodym sposobność poznania się lepiej. Panienka spóźniła się ze strachu, czy z zalotności, nie wiemy. Młody człowiek ogląda się po salonie, pragnąc z otaczających go przedmiotów poznać charakter mieszkanki. W zagłębieniu okna stoliczek, pokryty fraszkami, ściaga szczególnie jego uwagę; zbliża się — tam musi zwykle siadywać przyszła pani jego myśli!... Widać to po świeżo rzuconej robótce, po woni kwiatów w bukecie. Trochę niedyskrecyi dozwolone w takich razach, przygląda się zatem z pewnym rodzajem uszanowania... lecz cóż to za książka w żółtej okładce leży obok robótki?... to ostatni romans najsłynniejszego z cynizmu powieściopisarza! Młody człowiek rzucił książkę osłupiały, czar prysł w jednej chwili i słysząc, że ktoś nadchodzi, wybiegł co prędzej z pokoju.

Wspólna przyjaciółka czekała na wiadomości, ale uśmiech znikł z jej twarzy, skoro spostrzegła wzburzoną, zaniepokojoną twarz krewnego: „A! to mi ciotka ładnie poradziła! zawołał, wchodząc z niezwykłą żywością — miała być pobożnie wychowana, ideał skromności, a tu czytamy bezecne piśmidła, uczymy się zwodzić! kokietować! — czy na to się mam żenić, abym przy domowym ognisku znajdował wyobrażenia i obyczaje dawnego mego świata?...“

i tu zaczął opowiadać, co odkrył. — „To jakaś pomyłka!“ zawołała pocziwa ciotka i kazawszy czekać za sobą młodzieńcowi, pobiegła wprost do swojej protegowanej. Zastała ją w salonie, przy oknie, całą zarumienioną oczekiwaniem; na stole zółciła się okładka fatalnej książki. — „Cóż tam czytasz, moja panno?“ zapytała z żywością. — „Ja?... nie wiem, odparła zmieszana panienka, nie patrzałam...“ i po dalszych pytaniach wyznała, że posłyszawszy o zamierzonym małżeństwie, uczuła się dumną z wyboru ulubieńca salonów, a zarazem zawstydzoną, że sama tak prosta i skromna. — „On wyśmiej się ze mnie“ — pomyślała i chcąc się przed nim pochwalić, że czytana, a wcale nie taka gaska, jak się zdaje, wyjęła pierwszą lepszą książkę z świeżej przeselki księgarskiej, lecz ani jednego nie przeczytała jeszcze słowa. — „Ależ on właśnie cię wybrał dla tego, że jesteś prosta i skromna“ rzekła ciotka, całując ją w czoło — i wróciła tryumfalnie do siebie, pokazać wyczekującemu niecierpliwie młodzieńcowi nieprzecięte karty romansu. — Co się dalej stało, jak się młodzi porozumieli, pokochali i pobrali, to łatwo odgadnąć.

Śmiejemy się z panienki, ale ta mniemana mężkość i równouprawnienie, na jakie niektóre kobiety chorują, nie jest to najczęściej puszenie się żółtą okładką? — Już to mniejsza, choć nieładnie, że kwas cygar zastąpił zapach kwiatów w salonach niewieścich, ale ileż to kobiet przybiera dziwne jakieś obyczaje: sadzą się, aby mówić, a przynajmniej słyszeć o wszystkim, nie gorsząc się niczem; czytują bez wyboru, rozprawiają głównie o koniach, polowaniach, ba! nawet o pojedynkach, chcąc umilić i ułatwić mężczyznom swe towarzystwo. Wiadomo tymczasem, iż źle się przysługuje lekarzowi, kto rozmawia z nim w gościnie o pacjentach, adwokatowi, gdy o procesach. Mężczyzna, przymuszony wiele godzin przepędzać w atmosferze grubszych obyczajów, stykać się z pospoliczemi uczuciami, potrzebuje odpocząć w czystszej otoczeniu, odświeżyć lepsze, wyższe uczucia swojego serca. Kobieta przedstawia ma dla niego ten czystszy, piękniejszy pierwiastek na świecie. Ze spospolitowaniem kobiety zniżyłby się cały poziom cywilizacyi, zaginęłyby delikatne uczucia, obyczajeby zgrubiały, — to też mężczyźni, wiedząc najlepiej, ile niebezpie-

czeństw kryje się pod żółtą okładką, bywają surowi dla siostr i córek pod względem przyzwoitości od samych matek.

Grają w teatrze sztukę nieprzyzwoitą, przyswojoną z obczyzny, przyjaciele domu ostrzegają matkę, żeby córki na nią nie prowadziły. „Być może, — odpowie niejedna, słyszałam nawet, że w Paryżu panie z dobrego towarzystwa w ogóle na tę sztukę nie chodzą, ale córka moja tak mało ma rozrywek, tak rzadko ma się gdzie pokazać, — a wreszcie ogłosiliby nas, broń Boże, za przesadne!” Idą tedy do teatru, a młoda mężatka na przodzie. Obstępują ją znajomi, z swawolną ciekawością śledzą, jakie wrażenie robią na niej dosadne dowcipy, lub jaskrawe położenia sztuki, a ona uzbraja muszkuły, zakazuje krwi biedz żywiej ku licom, żeby nie wydać rumieńcem, jak bardzo zranione jej uczucia, bo biedny rumieniec, wyśmiany, poszedł z wielu innymi rzeczami na odstawkę i już dziś niemodny. Młoda kobieta cierpi, ale na drugi raz pójdzie może na gorszą jeszcze sztukę.

Piszą uczeni, a panienki czytają, że kobieta, póki nie kocha, jest „w stanie roślinnym” i dopiero przez namiętność przychodzi do „samopoznania.” Nuż tedy rozprawać o sentymentach, opowiadać głośno i bez zająknięcia, jak przyjaciółka, lub towarzyszka kocha się w tym, lub w owym, sama nawet wobec liczego zgromadzenia chlubić się zbieraniami w salonach holdami....

Wszystko to są żółte okładki.

Nieraz nakoniec, chcąc pokazać, że się ma umysł męzki, zdolny wznieść się samodzielnie na wyżyny naukowe, unika się starannie wzmianki o Bogu, przytacza tylko bezwyznaniowych pisarzy, pisze całe książki o wychowaniu i kwestjach społecznych, nie dotykając nawet z daleka wykształcenia religijnego, jak gdyby Bóg i religia były wyrazami abstrakcyjnymi, które z życiem nie mają nic wspólnego.

I to jest żółta okładka.

M. Sz.....a.

MARYA STUART

W HISTORII I W LITERATURZE

NAPISAŁ

ZORYAN.

(Ciąg dalszy).

Do takich charakterystycznych ustępów zaliczyć należy scenę z lampą z kaplicy domowej, której Marya nie chce dać Botwelowi, aby święcone jej lampy nie skałał krwią. A obok tego umie poeta szyderstwem ostrym zabijać takie słabostki i jest w tem nieubłagany. Jaki to ostry sąd postępowania Maryi, jej bigoteryi, nieliczącej z zbrodniami, do których ręki przykładą, znajdujemy w słowach Botwela:

Wiele udawaj, że czytasz, udawaj przed Bogiem!
Jeśli Bóg nie pochwali, człowiek cię pochwali.
Niejeden powie: patrzcie! ma świętość anioła!
Ta kobieta przed śmiercią już świętą zostanie....

Trafnych w tem myśli wiele, lecz raz jeszcze powtórzyć musimy zapytanie, dla czego z pod pióra młodego poety tak wiele czarnych wypływało myśli, dla czego tak wiele w nim przykrego sarkazmu? Tych czarnych barw nie brak poecie i później, nie był wolnym od nich nigdy. Osobliwie dramata dawały najlepszą do tego sposobność.

Przejdźmy do poszczególnych charakterów.

Na pierwszym planie widzimy zawsze Maryą Stuart, bohaterkę dramatu. O ile w niej znajdujemy wiele szczegółów, wycieniowanych doskonale, skończenie, znajdujemy miejsca „zdumiewające trafnością w kreśleniu najdelikatniejszych odcieni, słowa, wykradzione z najgłębszych tajników kobiecego serca,” o tyle całość zdradza brak wyrazistych, silnych konturów. A kiedy bliżej się zastanawiamy

i porównujemy Maryą z innymi postaciami kobiecymi w naszej poezji i widzimy, jaką rzadkością w niej jest skończona kreacja kobiety, mimowolnie przypominamy słowa Cypryana Nowida, omawiające tę sprawę:

„Poezya pod tym względem podobna jest coś do tego okrętu Lambry, który rozstrzeliwać kazał swoich żeglarzy, skoro się w kobiecie pokochali.“*)

Trafna ta myśl naprowadza nas na uwagę, że jest to niezawodnie wynikiem dziejowego naszego położenia. Naród, który przez kilka pokoleń walczyć i walczyć tylko musi z wrogiem, w którego życiu dawniejszem kobieta nie miała wpływu na rozwój spraw publicznych, nie może wydać w dziełach swych poetów postaci kobiecej skończonej. Najpiękniejsza jeszcze kreacja — to Marya Malczewskiego, co całe dni spędza przy starym ojcu, tęszeni za mężem, który ożgnie stoi na straży granic Rzeczypospolitej, a wreszcie bezbronna, ulega przemocy nieprzyjacielskiej ręki i cichy swój żywot kończy bez rozgłosu. Z odległych wieków wyrzesał Mickiewicz postać bohaterską Grażyny — i na tem koniec. „Niewiasta polska w trzech wiekach“ Magnuszewskiego pozostała tylko małą próbką, Barbara Radziwiłłówna za mało jest kobietą, zarówno u Felińskiego, jak u Odyńca.

Słowacki próbował skreślić postać kobiety na obcym gruncie — lecz, że nie wyszła z pod jego pióra postać historyczna, ale kobieta w dramacie pożycia małżeńskiego, uległa ogólnemu fatalizmowi i została tylko pysznym szkicem genialnego twórcy, daleka od idealnego arcydzieła.

Z tem wszystkim jest Marya charakterem, jeśli nie stojącym na wyżynie dramatu historycznego, to zawsze wiernie wykrojonym z życia.

Zamężna, a jednak bez męża, bo bez tej podpory silnej dłoni, któraby kobietę w trudnych, często bardzo trudnych przygodach życia wiodła po drodze prawej — stoi jakby na rozdrożu, nie wiedząc, w którą pójść stronę. Chwila taka w zwykłym naszym życiu może za sobą najfatalniejsze skutki pociągnąć — najgorszym z nich, a niestety bardzo częstym to: rozbięcie rodziny. Ileż bardziej brzemienne następstwami musi być chwila taka w rodzinie królewskiej; tam rozbięcie rodziny idzie w parze z całym szeregiem nieszczęść dla kraju.

Sytuacja prawdziwie dramatyczna, dowodząca głębokiego wejrzenia w naturę i życie ludzkie, nadaje się wybornie na zawiązek sztuki. Postać Maryi modeluje się pięknie, a zręcznie, choć lekko zarysowane zaburzenia polityczne stanowią najodpowiedniejsze tło. Obok królowej — kobiety nie widziwy jej męża, który z prawa natury powinien być jej obrońcą i nie samą siłę i oręż reprezentować przy tronie niewiasty, bo Henryk w rozległych pokojach, otoczony lekkomośniami doradcami, którzy więcej myślą o łowach i hulankach, niżli o państwie, dla których ważniejsze są przymioty sokoła i harce hartów, niżli burza, grożąca królowej, burza, co kipi w tłumach narodu.

W takim położeniu, cóż dziwnego, że Marya zaraz na wstępie woła:

Sama — sama więc na tronie,
Opuszczona od wszystkich, lud mię nienawidzi!

Cóż dziwnego, że pozbawiona opieki męża, szuka jej gdzie indziej. Najbliższym jej Rizzio, Włoch, sekretarz — lutniści. Do niego to zwraca się teraz królowa, o radę go pyta, wołając: „Rizzio! słyszałeś?” „Rizzio! co myślisz?”... Rizzio najbliższy, cieszy się przychylnością Maryi, bo pięknie gra na lutni, a ona muzykę lubi — przytem zręczny pochlebca umie ładnie trefionemi słowy zdobyć sobie tę życzliwość. Posłuchajmy tylko jego słów:

Królowo, ty masz lice i serce anioła!
I czemuż siejesz kwiaty na tak dziką niwę?
Widziałem słońce, kiedy na obłoku tronie,
Tonące w Tybrze, patrzy na krzyż Rzymu złoty;
Ty jesteś jak to słońce, twój tron w falach tonie,
Lud cały już zatonał w obłokach ciemnoty;
Ty jedna wzniosłem czołem widzisz światło, wiare.

Słowa te pochlebiali Maryi, więc nic dziwnego, że dała

*) Cyprian Norwid „O Juliuszu Słowackim.“ Paryż 1861. str 76.

im powolne ucho, że słuchała rad swego harfiarza, chociaż na jego nie myślała wesprzeć się ramieniu. Lecz tak myślał Rizzio. Po jego głowie snuły się rojenia o miłości królowej. Marya lubiła Rizzia, jak lubiła wszystkich — on myślał, że go kocha. Ona w postępowaniu była tak uprzejmą, że trudnooby oznaczyć granicę zwykłej, a choćby i niezwyklej dobroci — Włoch marzył o wzajemnej miłości. Marya, która potrzebowała podpory męskiej i doradcy, zbliżyła Rizzia do siebie, lecz nigdy go nie kochała. Nie z winy poety, bo uczynił on to z umysłu, stosunek ten wychodzi dziwnie niejasno; słowa Maryi w różnych scenach różnią się bardzo. Sprawia to w sztuce pewnego rodzaju nieporozumienie, a zarazem konflikt. Bo gdy Rizzio, pozorem zwiedziony, wierząc w miłość Maryi, swoją jej wyowiada, zimnem oblewa go słowem:

Rizzio! chciej mówić z Królową,
Rozmawiałeś z kim innym.

Stąd starcie się, zimne rozstanie i następne widzenie się, bo królowa dobra, przebacza łatwo i nie chce Włocha z bolącym sercem odprawić. A to powtórne ich spotkanie się — ta śmierć Rizza, za tem idzie konieczne rozwiązanie.

Tak więc chwiejność Maryi w postępowaniu z otoczeniem, nieumiejętność znalezienia miary w zachowaniu się względem niższych od niej stanowiskiem, ta niezdolność położenia wyraźnej granicy między miłością, a dobrocią, życzliwością, stają się cechą królowej. Jest to wada, która, jak kula ołowiana u nogi, pociąga po pochyłości, nie pozwalając powstrzymać się tam, gdzieby potrzeba, lecz ściga w zapędzie coraz niżej i niżej, aż do przepaści. Słowacki zrobił z tego rys charakterystyczny Maryi i uwydatnia go przez cały ciąg dramatu. Dla tego to wychodzi Marya w dramacie, jako kobieta z wadami powszednimi; wady te, co prawda, wiele ważą w życiu i niejedną godzinę zatrują, są przyczyną niejednej lży żałoby, niejednego może występk. Pierwszy to może dramat, w którym motorem są błędy tak powszednie, powiedziałabym, codziennie, a z których główny nazwanoby dziś brakiem taktu. Tak jest, Marya, około której cały dramat się obraca, grzeszy tem głównie, że w swej ujmującej wszystkich słodyczy nie umie zatrzymać miary i zatracza wiele godności królowej, co więcej kobiety. Kobieta, która tak postępuje, iż każdemu, co się do niej zbliży zdawać się może, że go kocha, błędzi bardzo, a umiejętność zachowania miary wielką jest zaletą.

Pod tym względem odwzorował Słowacki Maryą wierne z historii, lecz pominął zalety tej królowej — a temi: umysł dzielny, niezwykły, energia i niespożyta siła do pokonywania trudności.

W dramacie Słowackiego widzimy drugi rys jeszcze, bardzo w charakterze Maryi wydatny. Jest nim hipokryzja i fałsz, skierowane głównie do tego, aby zamaskować błędy, osłonić je przed oczyma drugih, służby i tego nawet grona wiernych jej i oddanych, co wszystko w niej tylko dobrem widzieli. Rys ten jest z słabością poprzednią w całej sztuce zpleciony i wydaje całość, zajmującą bardzo w szczegółach.

Rys ten zaczyna Słowacki już w 6 scenie aktu II.

Maryja do pažia:

— Bothwel? — lecz ja Bothwela nie znam.

następnie zaś mówi zamyślona, jak echo:

— Bothwel — tak, mógłby bliżej, bliżej być królowej.

A kiedy wreszcie paż opowiadaniem o Bothwel, opowiadaniem, które, nawiasem mówiąc, znowu stwierdza, że Bothwel zrećnie, może z nawyknienia gra komedią, dotyka z bliska uczuć Maryi; kiedy mówi:

— Zbudził się Bothwel — zadrzał — i na służki skinął,
woła Marja niecierpliwie:

Odejdź! odejdź! wierny sługo!

Lecz daj mi wachlarz, niech czoło mi chłodzi...

Tak mi gorąco — odejdź! jest to czas pacierzy.

Maryja słuchała tak długo, jak długo paż mówił o swojej przychylności, o tem, że chciałby na jej dworze, w jej obronie zdobyć sobie złote ostrogi rycerza; słucha, gdy

mówi o rycerzu Bothwel, bo jest dobrą królową, bo tak zwykła dobrocią swą ujmować sobie wszystkich i dla tego ją wszyscy kochają — dla tego kocha ją paż. Lecz gdy opowiadanie doszło do punktu, w którym mogłaby łatwo zdradzić uczucie, wtedy dopiero mówi niecierpliwie, niecierpliwie, bo:

Przenikliwie ma oczy ten paż i nie wierzy,
Że miłość jest występkiem, w błędną wiedzie drogę.

Tak więc Marya, tając swe uczucia, nie mając ani jednej osoby, którejby się mogła zwierzyć i szczerze rady zasięgnąć, błędzi przez cały ciąg dramatu. Chwiejność z początku i niepewność cechują jej kroki; w dalszym ciągu musi już uleść nieubłaganej konsekwencji faktów, bo jeden chybiony krok, jeden błąd, pociąga za sobą cały szereg innych.

Sama na tronie! oto, co ją tłumaczy, choć nie usprawiedliwia. Tłumaczy ją, bo niepodobna wymagać, aby królowa mogła bez uczciwych i mądrych doradców iść pewnie i silnie po trudnej drodze rządzenia, tłumaczy, że w rządach i życiu nie znalazła nikogo, coby był jej wiernym i pomocnym — ani nim był mąż, ani kochanek Bothwel, ani o miłości gruchający śpiewak Rizzio. Tłumaczy, lecz nie usprawiedliwia! Bo czyż to podobna, aby na królewskim dworze nie było ani jednego człowieka uczciwego? I czyż to nie winą królowej, że, zachwycając wszystkich swą pięknnością, swą dobrocią, słodyczą ujmując wszystkich, nie wzbudziła przecie w nikim zaufania, nie znalazła powiernika? — lecz nie takiego, jakim chciałby być Rizzio. Ale jeszcze dziwniejszem jest to, że w tak przykrych dla królowej stosunkach nie umiała ona nawet przygarnąć do siebie żadnej kobiety — a wiadomo przecie, że taka powiernica jeśli radą nie dopomoże, to pociechę przyniesie w ciężkiej doli, ulgę sprawi w cierpieniu. Bo nie możemy przemilczeć, że dziwnem jest bardzo, iż Słowacki w otoczeniu królowej ani jednej nie umieścił kobiety. Królowa, kobieta, przez ciąg całych pięciu aktów ani razu nie okazuje się w towarzystwie kobiet. Zawsze sama, a naprzeciw niej stoją to zabójcy Rizza, to niezadowoleni rycerze i dwór — przy niej odosobnieni tylko kolejno Rizzio i Bothwel, a najwerniejszy paż.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZAUFANIE.

Powieść

HENRYK A JAMES.

Przekład z angielskiego.

(Ciąg dalszy.)

XVIII.

— Jest zadowolony! bardzo zadowolony! po tysiąc razy powtarzał sobie Longueville za pierwszych dni pobytu w domu przyjaciela, gdy ten równocześnie niejedną spędzał chwilę na rozmyślaniu, co też Bernard sądzi o jego szczęściu: Jakże dziwić go musi, że uczucie do Anieli Vivian przeniosłem na stworzonko tak młode, tak wiele niżej stojące! I myśl ta onieśmiałała go nieraz i nie pozwalała odczuwać, że najlepszym jego tłumaczem była Blanka sama. Młoda, ładna, zręczna i naiwna, miała wdzięk niezwykły, jej tylko właściwy, a jeżeli była gąską, to gąską o łabędzich piórkach, umiejacą lekko przepływać wśród fal życia. Co do Bernarda, jeżeli dawniej wydawała mu się niebardzo inteligentną, to obecnie nabrał przekonania, że więcej udaje naiwną, aniżeli nią jest w rzeczywistości. Ufał, że zbudziło się w niej serce i chociaż nowoyorkscy przyjaciele i znajomi zapewniali go, że tylko dla majątku wyszła za mąż, nie wierzył temu, przekonany będąc, że gdyby nawet poślubiła była Gordona dla pieniędzy, musiała

potem pokochać tak zacnego męża. To też ile razy sam na sam znajdował się z żoną przyjaciela, nie omijał żadnej sposobności, aby podnieść w jej oczach niezrównaną dobroć Gordona.

I ona umiała ją cenić.

— Wiem, co chcesz pan powiedzieć, szczeniutko według zwyczaju, mów śmiało, nie lękaj się niczego. Żem zepsuta, to rzecz stara, mama dogadzała, a Gordon nie odmówić mi nie umie. Nie jest pięknym, ale lepszym od niego nikt być nie może i nie pojmuję, jak można twierdzić, że gdy się kogoś kocha, musi się go znajdować ładnym. Kocham Gordona, a nie jestem zaślepiona co do powierzchowności jego; za niski i za czerwony dla mnie... Dawniej zaś znałam człowieka, którego znajdowałam bardzo pięknym, jednak nie mniej widziałam jego błędy. — Błędów Gordona nie znam i myślę, że chyba nie ma ich wcale. Niezrównanie jest dobry, zacny, nigdy jeszcze nie zrobił mi przykrości. Tego tygodnia wybrałam sobie aż pięć sukien i dwie jeszcze zamówiłam. Zgadnij pan, co Gordon uczynił, gdy się do winy przyznał? oto uściśkał mnie jeszcze raz więcej. Nieprawdaż, że to się już zwie nadużyciem jego dobroci? że gdyby się gniewał, przynałbyś mu pan słusność?...

Innego znowu razu, gdy Gordon odszedł do laboratorium, w którym nieraz spędzał dzień cały, mówiła do Bernarda pod wrażeniem niemilego, mężowskiego zajęcia:

— Pierwszego poranku poszłam z nim także, ale już tam nigdy nie wrócę. Okropne wyniosłam wrażenie, całą noc tysiące barw przesuwano mi się przed oczami, zdawało mi się co chwila, że przyszło do eksplozy i że mi przyniesiono ciało Gordona, rozszarpane w kawałki! A jaki tam zapach okropny, jak brudno dokoła! I czy pan uwierzy, że ci młodzi mędrkowie, otaczający mojego męża, ani spojrzeli na mnie, jak gdybym była straganiarką, nie żoną ich przełożonego! — Powiedz mi też pan, jak Gordon tytułować się winien? Posiedziciel laboratorium... nie, tego nie chcę, bo to brzmi tak, jak... posiedziciel hotelu. Chemik!... tego także nie lubię, każdy drogerzysta angielski mianuje się chemikiem...

Takich i tym podobnych zwierzeń słuchał Bernard całe godziny, w ciągu których badał żonę przyjaciela, chcąc dopatrzyć w niej cnót, mogących zapewnić szczęście mężowi. Nieraz i Gordon był przytomny podobnym gawędkom, lecz milczeniem odpychał zaczepki żony, lub poddawał im się cierpliwie. Umiał już teraz ukrywać świat swych uczuć i tylko baczne oko Bernarda dostrzedz mogło, co się działo na dnie jego duszy. I z każdym dniem stawał mu się droższym: za dawnych czasów zwykł on być drażnić i gniewać starszego od siebie kolegę, obecnie nie umiał się nawet oprzeć jego woli, Gordon zaś rozkoszował i cieszył się miłym gościem, a jeżeli milczał w obecności żony, to gdy byli sami, tysiące rzeczy miał mu do udzielenia. Dobrze bardzo było im razem i Bernard, korzystając z uprzejmości przyjaciela, używał najmielszej amerykańskiej zimy, oceniał niezrównany wdzięk Amerykanek, podziwiał koloryt ojczystego nieba, bawiła go nawet widoczna zalotność żony przyjaciela. Miłość małżeńska bowiem nie przeszkadzała Blance w chęci podobania się wszystkim, a bodaj czy nie najwięcej Longuevillovi. Bernard zauważał tę dziecianną igraszkę, lecz zapominał o niej, gdy Blanka nikła mu z oczu, a że wiedział, iż ta młoda kobieta niezwykle bawić się rozmyślaniami, nie przypuszczał ani chwili, aby, sama będąc, mogła o nim choćby wspomnieć tylko. Zanim jednakże zima się skończyła, wśród przyjaciół i znajomych zaczęto szepotać i od czasu do czasu Bernard dosłyszał nazwisko swoje złączone z imieniem żony przyjaciela; postanowił więc położyć koniec i nie tracąc czasu, uwiadomił go o zamierzonym wyjeździe. Za całą odpowiedź Gordon rzekł mu smutnie: I najprzyjemniejsze chwile zakończyć się musi! Bernard zaś dopiero w godzinę później zauważył, że przyjaciel nie stara się go zatrzymać. Czy był zazdrosny? Czy go wystraszyły plotki ludzkie? Jeżeli pragnął go się pozbyć, to rzeczywiście nie mógł godziwiej postąpić, bo do ostatniej chwili w niczem nie uchybił niezrównanej gościnności.

Tymczasem Bernard, nie mając najmniejszej skłonności do Blanki, nawet myślą nie przeszedłszy linii, dzielącej go od żony przyjaciela, z czystym sumieniem zapakował rzeczy i gotów już do wyjazdu, poszedł pożegnać panią domu. Zastał ją w salonie, czekającą na zaproszonych gości. Gordon nie był jeszcze z powrotem.

W jasnej, niebieskiej sukni siedziała przed kominkiem, ogrzewając drobne nóżki, ujęte w śliczne trzewiczki.

Wiadomość, udzieloną przez Bernarda, przyjęła z niechęcią, wysmiewając wyjazd jego do Kalifornii, a potem zawołała nagle, patrząc mu prosto w oczy: Wiem, dla czego pan wyjeżdżasz!

— Cieszę się, żeś mnie pani zrozumieć zechciała.

— Wszystkie pańskie tłumaczenia będą zupełnie daremne, wyjeżdżasz pan całkiem dla innych powodów.

— Azatem, skoro chcesz pani wiedzieć, przerwał Bernard, wyjeżdżam dla tego, żeś pani nie dość dla mnie ujętą.

— Tyle w tem prawdy, że pan wyjeżdżasz dla mnie.

Bernard zaintrygowany, co powie dalej, czy będzie dość śmiała, aby dotknąć najmniej stosownego przedmiotu, spojrział badawczo i nabrał przekonania, że przez te usta wszystko przejść zdolne. Nie zdziwił się też wcale, gdy mówiła dalej: Dla mnie pan wyjeżdżasz, ... dla Gordona, choć Gordona lękać się nie potrzebujesz.

— Lękać się jego? Nie rozumiem, co chcesz pani powiedzieć, odrzekł poważnie.

Blanka rozśmiała się z lekka: A więc dowiedziałeś się pan, że ludzie mówią o nas, — o panu i o mnie, lecz cóż to panu szkodzi? Dla mnie rzeczą to obojętną, a że Gordona całkiem to nie obchodzi, powinienes się pan był już dawno o tem przekonać. Jeżeli więc on nie dba o to, czemu pana to trwoży? Nie umiałabym przejąć się tem tak bardzo...

— Przeciwnie, wolno i dobitnie powiedział Bernard, wspominając o tem, zdajesz się pani aż zbyt przywiązywać tu wagę.

— Czemuż nie mam o tem mówić? do pana, lub i do kogobądź?... tyle tylko mojej korzyści! Alboż Gordon pyta, co ja mówię, lub czynię! czyż choć trochę dba o mnie? wyrzekła Blanka, a głos jej zabrzmiał niezwykłym dźwiękiem.

— Mówisz pani o korzyści, jak gdyby z tego mogła dla pani wyniknąć jakakolwiek.

— Tak jest, pragnę! chcę! i mieć ją muszę, zawołała, a tym razem głos jej zdradzał wzruszenie, wzmagające się w miarę, jak mówiła: — Nie dba o mnie wcale i nigdy nie dbał, nie rozumiem po co mnie zaślubił, myśli o wszystkim innym i wszystko więcej interesuje go ode mnie. Co go wyłącznie zajmuje, nie wiem... chyba ta nieznośność chemia.

Słowa te wstrząsły Bernardem, ale dość miał przytomności umysłu, aby stanowczo kłamać jej twierdzeniu:

— Szkaradne uwidzenie, zawołał, Gordon znajduje panią czarującą.

Słowa te, wypowiedziane dobitnie, brzmiały jeszcze w powietrzu, gdy się drzwi otworzyły i wszedł Gordon. Przebiegł oczyma z Bernarda na żonę i zbliżając się do tej ostatniej, rzekł miękko:

— Czy wiesz, że nas jutro opuszcza?...

XIX.

Bernard, jak zapowiedział, udał się do Kalifornii, lecz zaledwo tam przybył, nie wiedział, co począć. Myśli, przesładowujące go na wschodzie, opadły go po dawnemu i chcąc im się wyrwać, wyjechał do Meksyku, lecz gdy i tutaj odstąpić go nie chciały, postanowił powrócić do Nowego Yorku, a stamtąd wybrać się do Europy. Za przybyciem do stolicy nie zastał Gordona, z żoną wyjechał był na wieś: Bernard podążył za nim, aby go pożegnać na czas dłuższy i przekonać się, czy rozdrażnienie Blanki nie przybrało groźniejszych rozmiarów. Zastał ją wesolą, uśmiechniętą, otoczoną gronem gości, a że przede wszystkim była uprzejmą gospożą, całem sercem cieszyła się przybyłym. Pod tym względem Gordon zgadzał się z żoną, jak ona, lubił oto-

czenie przyjaciół i porównano z nią rad był, iż wkrótce dom ich uzupełni się znaczniejszą liczbą gości.

Wśród wielu innych w dzień wyjazdu Bernarda zjawili się i kapitan August Lovelock, który, przebywszy ocean, pospieszył aż na wieś powitać dawnych znajomych.

Pomimo liczego zebrania Gordon z prawdziwym żalem żegnał najmilszego z przyjaciół, a Bernard w uścisku jego nie odczuwszy choćby cienia niechęci, zapomniał, że wyjeżdżał do Kalifornii dla mniemanej jego zazdrości. Rozłączyli się w zupełnej harmonii, nie wiedząc, kiedy zobaczą się znów.

- XX.

Bernard Longueville szczęśliwie stanął w Havrze, a patrząc oknem hotelowem, pytał sam siebie, po co spieszył do Europy. Jakaś siła wewnętrzna pchała go naprzód, nie oznaczając ani celu, ani kresu podróży. Paryż wśród lata nie pociągał go wcale, Havre nie posiadał dość wdzięku, aby się tam zatrzymać czas dłuższy. Zaraz nazajutrz naszym powozem kazał wieźć się wzdłuż wybrzeża morskiego, a świeżość krajobrazu zajęła go i nadała inny bieg myślom. Przybywszy do Blanquais-les-Galets na dwadzieścia mil od kolei, miejsca na pół ucywilizowanego, całkiem nieznanego modnemu światu, gdzie tylko prawdziwie chorzy zjeżdżali dla kąpieli, Bernard porwany oryginalnością pomysłu, zatrzymał się w hotelu i postanowił pozostać tu dłużej, chcąc zbadać nadmorskie życie francuskie i przyjrzeć się pięknej okolicy. Znużony po pierwszej kąpieli i przechadźce wzdłuż wybrzeża, usiadł, aby wypocząć trochę, gdy nagle ujrzał tuż obok na niskiej ławeczce kobietę, siedzącą z książką w ręku. Szeroki parasol osłaniał ją do połowy, lecz choć tylko było jej widać twarzy cząsteczkę, od razu w siedzącej poznał Aniellę Vivian. Była sama i czytała uważnie, tylko od czasu do czasu przewracając strony książki, spoglądała w nieskończoność morza. Na widok jej Bernard doznał niezwykłego wzruszenia; odbiegł go spokój, którym cieszył się przed chwilą i nie wiedział, czego pragnąć, czy aby spojrzeć w jego stronę, czy też by nie poznała go wcale. Często bardzo błędząc pośród obcych krajów, myślał o jej spotkaniu, z upragnieniem wyglądał tej chwili, a jednak rzeczywistość zaskoczyła go całkiem niespodzianie i zabrakło mu słów do przemówienia; pamiętał tylko, że ma przed sobą piękną dziewczynę, którą oczernił, obwinił niesłusznie, że to kobieta bezbronna, wobec której postąpił nieszlachetnie. Siedział milczący i nieporuszony, nie śmiąc zmuszać jej do słów częściej grzeczności, ona zaś czytała z zajęciem, nie widząc go wcale, choć tak był blisko, że końcem parasola mógł dotknąć jej sukni. Nagle złożyła książkę i zapatrzyła się w dal szeroka. Bernard, chcąc w czas zniknąć jej z oczu, podniósł się z lekka, lecz choć poruszył się nieznacznie, zwrócił jej uwagę. Odwróciła się i poznała go od razu. Jakby przykuty jej zwrokiem, stanął nieruchomy, a jak mu się później zdało, szalenie głupio musiał wyglądać. Ona kilka sekund popatrzywszy nań uważnie, spuściła oczy, podniosła się i postąpiła naprzód. Lekkie drżenie zdradzało w niej niepewność, spojrzała dokoła, jak gdyby chciała spytać, co jej czynić wypada, poczem przyspieszonym krokiem znikła za bramą Casino. Bernard oprzytomniał dopiero teraz, pobiegł za nią i zastał ją na wyniosłości Casina, chwiejną, w którą udać się stronę. Jeżeli pobił na pierwszy jej widok, to teraz zbrojny w odwagę, odezwał się pierwszy:

— Nie poznałaś mnie pani, a niepoznanym... nie śmiałem...

— Jak się zdaje, stałaś się pan lękliwszym, niż byłeś dawniej, odrzekła młoda lady, a choć rumieniec zajaśniał na jej twarzy, jak niegdyś, śmiało spojrzała mu w oczy. Bernard dojrzał krasę jej lica i znalazł, że równie była piękną, jak przed trzema laty.

— Wiek mnie ośmielił, odparł pospiesznie.

— Na mnie on widocznie podziałał całkiem przeciwnie, ozwała się Aniella — gdyż wyznać muszę, poznałam pana od pierwszego rzutu oka,

— Nie okazałaś pani tego.

— Przeciwnie, okazałam aż zbyt wybitnie, opuszczając moje miejsce.

— Ach! westchnął Bernard — straciwszy na śmiałości, nie umiałem w tem odszukać oznaki poznania.

— Było to więcej, bo oznaką zdziwienia.

— Ale nie przyjemności... podchwycił, odzyskując dawną swobodę.

— Wszelkie niespodzianki nie są mi przyjemne, odparła Aniella. Nie lubię nagłych zdarzeń jakiegobądź rodzaju. Dotąd zostaje pod wrażeniem zdziwienia.

— Gdybym był wiedział, że panie jesteście tutaj, byłbym im przesłał naprzód listowne powiadomienie.

— Nie mniej byłoby to niespodzianką, odrzekła panna Vivian, podnosząc z lekka ramiona.

— I to zwałabyś pani jeszcze niespodzianką? Czyż sądziła, żem umarł?

Teraz panna Vivian spuściła oczy, a rumieniec zniknął z jej twarzy: Nic o panu nie wiedziałam, odparła ciszej.

— Nic dziwnego, wszyscy jesteśmy śmiertelni. Zresztą skąd miałabyś pani wiedzieć o mnie, a co więcej spodziewać się mnie tutaj: Pani także byłaś dla mnie niespodzianką; ale różnimy się w gustach, ja lubię niespodzianki.

— Miło słyszeć, że się jest dla kogoś niespodzianką, odrzekła Aniella.

— Szczególniej, gdy się jest miłą niespodzianką.

— Nie umiem dopatrzeć tych drobnych odcieni, gdyż wrażenia tego rodzaju mijają tak szybko, że już całkiem otrząślam się z mojego. — Lekka ironia jej głosu zabrzmiała echem przeszłości. Bernard patrzył na nią przez chwilę, poczem rzekł: — Nic się pani nie zmieniłaś, pozostałaś tą samą, co dawniej.

— Bardzo żałuję, odrzekła i zwróciła się, aby odejść

— Co pani czynić zamierzasz? Dokąd się udać zamysłasz? zapytał niespokojnie.

Spojrzała przed siebie i nie odpowiadając, zeszła z małego terasu, skąd widok na morze i marmurowe skały jedyną były ozdobą:

— Szukam mojej matki, odparła po chwili.

— Mam nadzieję, iż matka pani dobrem cieszy się zdrowiem.

— Dziękuję panu, bardzo zdrowa.

— Czy wolno pomódz pani w jej odszukaniu?

— Nie ma jej tutaj, odrzekła pospiesznie, prawdopodobnie powróciła do domu.

— Co pani zwiesz tutaj domem?

— Chwilowe nasze pomieszkane, brzydki mały domek, który wynajęliśmy na miesiąc.

— Pozwólś pani, abym poszedł się przekonać?

— Nie, nie trudź się pan.

— Mamże to uważać za odmowę? zapytał niepewnym głosem.

— Nie śmiałabym nigdy mej prostej odpowiedzi nadać tak pięknej nazwy.

— Nie wiem, czy to tak bardzo pięknie wzbronić komuś przejścia progu swojego domu; odparł Bernard z wymuszonym śmiechem.

Co myślała panna Vivian, odgadnąć trudno, ale rzekła po namyśle: Bardzo będziemy rade widzieć pana w domu naszym. Lecz muszę powracać.

— Pozwól pani, że cię odprowadzę choćby tylko kawalek?

— To bardzo niedaleko, trzy minuty drogi — odparła Aniella i z wolna przestąpiła drzwi Casina.

XXI.

Bernard siedł obok niej; przez kilka minut milczeli oboje, choć strach go przejmował na myśl, że czas bieży i minie, zanim cośkolwiek dowiedzieć się zdoła, a tak wiele pragnął usłyszeć.

Nie pytała go, ani kiedy przyjechał, ani skąd przybył, ani co porabiał w czasie ich niewidzenia. Czy to czyniła przypadkowo? czy też z rozmysłem? odgadnąć nie umiał, czuł tylko, że postradał zwykłą swobodę myśli, że pogonił za nią, aby ją pożegnać, a prosił o pozwolenie odwie-

dzenia i czekał teraz, by przemówiła pierwsza. Lecz daremnie, milczała uparcie.

— Tak dawno nie widzieliśmy się, wiele zatem powinniśmy mieć sobie do powiedzenia — zaczął pierwszy, a mówiąc to, zmuszał się do uśmiechu, który nie znalazł odbicia na twarzy Aniela.

— Dawno, bardzo już dawno od owych mile spędzonych tygodni w Baden, odrzekła uprzejmie. Powróciłeś tam pan kiedy? — Było to pierwsze jej zapytanie, a choć mało znaczące, ucieszyło Bernarda.

— Nie pani, nie powróciłbym tam za żadne skarby świata. A pani?...

— Czy jabym tam jechać chciała? A jakże, z największą ochotą! —

Odpowiedź ta niemiłą była Bernardowi, spodziewał się, że spostrzeże ślady uczucia i pomyłka przykrą mu była. Zbliżali się do domku, oznaczonego przez Aniela. Był to jeden z tych maleńkich pałacyków, porozrzucanych po całej Francji. Za całą ozdobę posiadał maleńki ogródek, pełen kwiatów i świeżutkie, białe firanki, powiewające w oknie. Bernardowi wydał się ładniejszym, niż się spodziewał.

— Otóż mieszkanie nasze! rzekła Aniela i zatrzymała się przed fórtką ogródka.

— Bardzo tu ładnie, odparł, ładniej, niż u cukiernika w Baden-Baden. — Stanęli oboje i Aniela, spoglądając na kwiaty, nie myślała drzwi otworzyć. Casino znikło im z oczu, pusto było dokoła, gdy nagle, zwracając wzrok na Bernarda, że zwykłą sobie zmiennością rzekła, jakby do siebie:

— Nie widziałam tu pana ani razu.

Bernard wesoło się rozśmiał: — Prawdopodobnie dla tego, że przybyłem dopiero dziś rano. Pochlebiam sobie, że gdybym był od dawna, byłabyś pani raczyła mnie zauważyć.

— Przyjechałeś pan dzisiaj?...

— Trzy, lub cztery godziny temu. Gdybyś pani uwagi mej nie nazwała nieestosowną, śmiałybym powiedzieć, że nie straciliśmy czasu.

— I skąd pan przyjeżdżasz?

Pytania, następujące już teraz jedno po drugim, napępniły rozkoszą serce Bernarda, pochlebiał sobie, że je wywołał milczeniem: — Z Nowego Yorku, odparł pośpiesznie.

— Wprost z Nowego Yorku przyjechałeś pan do Blancquais - les - Galets? ze zdziwieniem spytała.

— Wczoraj przybyłem do Havru.

— I cóż przyprowadziło pana aż tutaj?

— Pięknieby brzmiało, gdybym mógł powiedzieć, że przyjechałem, bo panie tu jesteście, ale nieszczęściem, nie wiedziałem o tem. Zawdzięczam to szczęśliwemu przypadkowi... albo — może przecuciu.

Aniela powtórnie spojrzała na kwitnące kwiaty:

— Dziwne zdarzenie! Mogłyśmy być w tylu innych miejscach, a i pan pojechać mógł gdzieś indziej.

— A co najdziwniejsze, że ostatnią osobą, którą pożegnałem, była uroczą pani przyjaciółka, Blanka Wright, żona Gordona. Nic mi nie mówiła, że panie tu jesteście.

— Mogła nie wiedzieć o tem, odparła Aniela. — Nie jest ona dla mnie taką przyjaciółką, jak pan przyjacielem dla jej męża.

— Domyślałem się tego.

— Z razu po jej wyjeździe z Europy, mówiła dalej Aniela, mama pisywała do niej, lecz następnie zaprzestała... Blanka nadto jest bezmyślną.

Bernardowi nie uszło to ostatnie powiedzenie. Że Blanka była bezmyślną, wiedział aż nazbyt dobrze, a jednak sąd panny Vivian wydał mu się wynikiem żalu z powodu, iż ta sama Blanka pozyskała owego bogatego człowieka, którego ona poślubić miała.

— Gordon nie dzieli zdania pani, pochwycił pośpiesznie.

Aniela bystro spojrzała mu w oczy: Bardzo się cieszę — odparła.

— Tak jest, bardzo to szczęśliwie.

— Czy zdrow? Szczęśliwy istotnie?

— Wygląda na jedno i drugie.

— Bardzo się cieszę, powtórzyła jeszcze i nacisnąwszy, na klamkę, przeszła fórtką ogrodową, a w tej samej chwili na progu ukazała się pani Vivian, widocznie zadowolona, z kim córka rozmawiać może. Na widok Bernarda lekki wydała okrzyk.

Bernard wiedział, że matka Aniela przede wszystkim pragnęła wydać córkę za bogatego człowieka i że jemu była niechętną, jeżeli więc Aniela miała prawo gniewać się na niego, to pani Vivian nienawidzić go musiała. Zadrżał pod jej wejrzeniem.

— Pan Longueville, którego znałyśmy w Baden, rzekła Aniela, zwracając się do matki. — Pani Vivian z uśmiechem zbiegła aż do fórtki: Ach! pan Longueville! Jak dawno... jak mile... jak dziwne... i zatrzymała się nagle, a na ustach jej został uśmiech jakiś niepewny, drżący. Bernard, przygotowany na ostre przyjęcie, z radością dojrzał czule wzruszenie i przyjacielską życzliwość.

— Przyjechałem co dopiero i spotkałem miss Vivian, odezwał się wreszcie.

— I nie myślałeś nas pan odwiedzić? zapytała uprzejmie.

— Córka pani nie ośmieliła mnie do tego.

— Najdroższa... wyszeptła matka, spojrzawszy na córkę z niejaką, jak się zdawało, wymówką.

— Nie zachęciła mnie choćby jednym słowem, mówił dalej Bernard, lecz Aniela spojrzała na niego tak błagalnie, jak gdyby prosiła: „nie upieraj się, zostaw mnie samą,” a choć niema ta prośba nie miała nic rozkazującego, choć była bardzo uprzejmą, zrozumiał ją tak dobrze, iż poczerwieniał i zapytał prędko: Czy nie przyjdziecie panie do Casino, jak niegdyś zwykliście przychodzić do Kurhausu?

— Będziemy tam wieczorem, odparła pani Vivian, spoglądając na córkę.

— Pozwolą panie, że i ja się stawię, a uchylając kapelusza, Bernard pożegnał dawne znajome i wrócił do hotelu, gdzie niecierpliwie oczekiwał nadejścia wieczoru. W ciągu krótkiej rozmowy z panną Vivian, upewnił się, że nie ma żadnego żalu do niego: że owe tysiączne przypuszczenia, trapiące go tyle czasu, były niczem innem, jak przykładem widmem jego własnej fantazyi. Zapomniała, darowała, nie dba, albo nie dbała nigdy — myślał obecnie i pilno mu było dowiedzieć się więcej, a chociaż nawet w godzinach oczekiwania powracający mu przypuszczenia, że jest zalotną i fałszywą, nie troszczył się o to, dość mu było, że nie gniewała się na niego za pozbycie ją świetnego losu, że pod tym względem była wyższą, oryginalną i coraz więcej zaciękawiał go świat myśli młodego dziewczęcia.

Terasa Cassina nie dorównywała terasie badeńskiej, nie miała ani takiego oświetlenia, ani tak licznych gości, ani głośniejszej orkiestry. Świeące gwiazdy służyły za latarnie, szum morza zastępował muzykę, a jednak nie mniej była piękna, uroczą. Panie Vivian przybyły o oznaczonej godzinie i Bernard czekał już na nie, jak niegdyś w Baden, przygotowawszy dla nich miejsca w jednym z zakątków terasy. Niewiele było osób i znajomi nasi nie spoczęli dłużej nad pół godziny, lecz podczas tego pani Vivian, siedząc przy córce, zajęła się gawędką z jakąś znajomą sąsiadką, zostawiając Bernardowi całą swobodę rozmowy z Aniela. I dużo opowiedzieli sobie, a gdy następnie Longueville powracał sam od małego pałacyku, był tak rozmarzony, iż mimo wiedzy zatrzymał się nad brzegiem morza. Dokoła było ciemno, ocean zburzony ponure wydawał tony, a miękki wietrzyk przynosił zdala woń upajającą. Serce młodzieńca przyspieszonym tętnem bić zaczęło, rozjaśniło się nagle w jego myśli, a głos jakiś szepnął mu do ucha, że kocha Aniela Vivian i poczuł, że kocha ją silnie, namiętnie. Pod wrażeniem tego uczucia siadł, czy upadł na kamień, nad którym był przystanął i spędził tak godzin kilka, nie widząc nic dokoła.

(C. d. n.)

Sejm czteroletni.

Napisał X. Waleryan Kalinka ze zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego. Tom drugi. We Lwowie. Nakładem księgarni Seifartha i Czajkowskiego. Z drukarni Ludowej, pod zarządem St. Baylego. 1881. — Stronic w ósemce 255 z górą, czyli przeszło 16 arkuszy druku. Cena sklepową 6 m.

Przed rokiem przeszło, jak sobie czytelnicy łatwo przypomną, wydał ks. Waleryan Kalinka pierwszy tom znakomitej pracy swojej, traktującej o sejmie czteroletnim.

Pierwszy ten tom wyczerpnął się już w handlu księgarskim, dla czego niebawem, jak autor w przedmowie do drugiego tomu mówi, ukaże się drugie jego wydanie. Tymczasem zaś obdarzył nas autor całego dzieła tomem drugim, który co tylko pojawił się w księgarskim obiegu.

Recenzji o pierwszym tomie napisano zaraz po jego ukazaniu się wiele i wielkie głoszących dla autora pochwały.

Poważna, a gruntowna krytyka milczała długo, aż wreszcie zabrawszy głos, złączyła zdanie swoje ze zdaniem recenzentów. Naturalna też to zresztą rzecz. Dorywcza bowiem zwykle, bo krótkością czasu spowodowana, ocena recenzenta, choć biegłego i posiadającego sąd wytrawny, może dać tylko ogólny rzut oka na rzecz, o której wszyscy pragną szybko czegoś się dowiedzieć. A tymczasem krytyk właściwy bierze do rąk dzieło z zimną krwią anatomicznej, rozbiiera i waży zdania poszczególne i całość długo, aż wreszcie obwieści światu sąd swój. Od sądu tego zależy często prawdziwy los dzieła. Co doraźny sąd recenzenta pochwali, to poważna, a gruntowna krytyka straci nieraz słuszenie w nicosć. Dość wspomnieć tu Lisickiego książkę o Margrabi Aleksandrze Wielopolskim.

Wszakże zbytecznem byłoby dowodzić, że „Sejm czteroletni“ ks. Kalinki nie ulegnie temu losowi. Tom pierwszy tej pomnikowej pracy postawionym już jest na wysokim piedestalu sławy, a tom drugi sławy tej nie ujmie, owszem przysporzy. Już dziś dopraszają się głosy, zachwycane tomem drugim, dalszego ciągu dzieła.

Tom drugi sejmu czteroletniego nie jest jego tomem ostatnim. Oświadcza to autor wyraźnie w przedmowie. Owszem jest to część tego drugiego tomu, który autor wydać zamierzył, ale dla wielu zajęć wykończyć nie zdołał. „Ogłasza tedy — nagłony o wydanie — to, co do druku gotowe; co atoli „utwory wraz z poprzednio wydanym tomem pewną odrębną, skończoną całość.“ „Jest to zaś obraz z polityki zagranicznej Czworoletniego o sejmie od chwili zawarcia przymierza z Prusami (29 marca 1790 r.) i wszystkich następstw, które to przymierze przyniosło, aż pod dzień 3-go maja.“

Tom ten obejmuje całego dzieła księgę czwartą, zatytułowaną: „Przyjaźń z Prusami,“ a podzielony jest na cztery rozdziały, obejmujące razem 32 paragrafy (§ 113-144). Streszczać owego obrazu polityki zagranicznej Czworoletniego sejmu niepodobna, z tej prostej przyczyny, że dałoby się chyba obrazu tego karykaturę. Ale czytać je trzeba w całości, żeby podziwiać i powabne autora opowiadanie i sąd bystrość w ocenianiu ludzi i wypadków i uczyć zasadę prawdy, której autor w dziejach szuka.

Uczyniono autorowi z powodu pierwszego tomu zarzut, — podniósł go mianowicie Ks. Załęski T. J. w roku ubiegłym w jednym z odcinków „Kuryera Poznańskiego“ — że Ks. Kalinka ze zbytnią pobłażliwością i wyrozumiałością oceniał postępowanie króla Stanisława. Zarzutu tego, odrzeka autor, „nie śmiem całkowicie odeprzeć. W historii polskiej trudno się obronić od głębokiego współuczucia dla naszych królów.“ I ma autor w tym względzie poniekąd słusność. Mieliśmy czasem królów niedołężnych, lecz mieliśmy także sprężystych monarchów, którzy zacięte staczali walki z zaślepieniem politycznem rządzącej masy narodu, niweczając w końcu najzłobniejszych króla zamiary. Dość przywieść tu na pamięć Stefana Batorego. A przecież czasy Batorego

i Stanisława Augusta tak są różne od siebie, jak niebo od ziemi. Batory walczył ze samą szlachtą, a nie mógł jej zwalczyć i porządku przyuczyć, lubo miał Zamojskiego u boku, kraj niepodzielony a potężny i zasób energii niepospolity. Stanisław August, ostatni w szeregu królów polskich, był do pewnego stopnia polskim Romulusem Augustulusem. Miał on z pewnością chęci dobre, miał niezaprzeczenie rozum polityczny, umiał on znaleźć dobrą radę w kwestjach zawilęch; szlachetną ofiarą wszystkich swych klejnotów pociągnął za sobą magnatów Rzpltej i pusty przedtem skarb państwa napełnił się szybko milionami. Lecz król Stanisław miał słabość ulegania prądowi wielkości, trzymając się hasła: „Król z narodem,“ aby mógł zawsze za to słyszeć: „naród z królem. Zmienił też w stanowczej chwili najrozumniejsze zdania swe, zamiast je energicznie poprzeć wobec całej opozycji. Skąd wypływały często i słowa i czyny, nieodpowiadające jego „królewskiemu dostojęństwu“. Słabością zawinił król Stanisław wobec Rzeczypospolitej — to prawda; lecz zwał za to na niego samego wszystko, co cały naród przez długie wieki popełnił i w nim upatrywać, przypisywać mu jedyną przyczynę ostatecznego upadku Polski — to rzecz tuzinkowych historyków, których cała mądrość polega na potępieniu w czambuł wszystkich i wszystkiego. Prawdziwy dziejopisarz odda zawsze świadectwo prawdzie. To też czyni ks. Kalinka. Objawia on przychyłność dla króla tam, gdzie ten daje dowody wyższego rozumu politycznego, lecz nie zataja czynów, które w końcu, z braku męskiej energii, król kompromitował się wobec narodu.

Niepodobna, jak się wyżej rzekło, streszczać pracy ks. Kalinki, lecz z drugiej strony łatwo możemy dać pogląd na nią czytelnikowi, przytaczając wyborny wstęp pod napisem: „Rzut oka na politykę zagraniczną sejmu w epoce opowie-dzianej (str. 242.)“ „W czasie, gdy Konfederacja przyjmowała ster interesów z rąk Króla i Rady nieustającej, Rzplta zostawała w przyjaźni z Rosją, przyjaźni nieraz przykłej i poniżającej, ale o tyle zyskowej, że zabezpieczała całość ziem polskich; o tyle pożytecznej, że dozwalała zaopatrzyć kraj we wszystkie administracyjne instytucje, bez których państwo nowoczesne być się nie zdoła, a które w stuletniem rozpróżnieniu i anarchii narodu rozwinąć się nie mogły. Co większa, był nawet plan wyrwania Rzpltej z gnuśnego zastoju i wciągnięcia jej na pole, od dawna odłogiem leżące, wojny i polityki zagranicznej razem z Rosją i pod jej osłoną.

Alians z Rosją nie podobał się większości sejmowej. Upadł więc pod ogólnem potępieniem; jakiś instynkt wewnętrzny ostrzegał naród, że nie mamy dość siły, kar-ności i rozumu, aby się mieszać do ogólnie-europejskich działań...

Rzucono się do pracy z gorączkową czynnością, niestety nie w tej myśli, aby rzeczywiście naprawiać i coś trwałego przybudować, lecz żeby burzyć to, co istniało, a przede wszystkim po staremu, żeby władzę króla ob-ciąć, jego samego poniżyć. Atoli rząd polski, jaki wówczas istniał, zostawał pod gwarancją Rosji; — nie można było obalać go, nie zrywając z tem mocarstwem, nie łamiąc traktatów. Krok był ważny i stanowczy, narażał Rzpltą rozbrojoną na nieuchronną zemstę sąsiada. Sejm nie cofnął się przed tak wielkiem niebezpieczeństwem, pchany na tej drodze przez krzykliwą opinią, przez namiętne i exal-zowane kobiety, ośmielany zdradliwie przez agentów innego sąsiada (Prusy), który czychał na to właśnie, żeby Polskę z Rosją poróżnić.

Nie dość na tem; poróżniwszy, chciano jeszcze pogodzenie uczynić niepodobnem. Zażądano (zawsze za poradą o-bludnego przyjaciela) wycofania wojsk rosyjskich z województw granicznych z teatrem wojny, w których Rosja miała pod-stawę dla swych operacji wojennych i śpichlerz dla swej armii. Nowy opiekun Rzpltej poparł energicznie to żąda-nie; ewakuacja dokonana. Zrobiono krok dalej, zakazano wywozu zboża do Rosji... Była to epoka najwięk-szej przewagi krzykaczy i warcholów sejmowych, którym przyklaskiwali politycy brukowi

ciesząc się, że już teraz stosunek z Rosją nie naprawi się tak łatwo. Cieszył się jeszcze bardziej Lucchesini.

Wtem pada strach paniczny. Turcy, dotąd zwycięzcy, a przynajmniej mocno dotrzymujący kroku swoim przeciwnikom, na wszystkich punktach ponoszą klęski. Jest obawa, że jak nagle wydadzą wojnę, tak nagle podpiszą pokój, a wtedy Rosya będzie miała ręce zwolnione, a wtedy coś się stanie z wszechwładztwem sejmowem!... Zatem w prośby do przyjaznego opiekuna, aby zawarł przymierze i żeby — zobowiązał się bronić Rzpltej.

Nie do smaku była ta propozycja sąsiadowi. Nie miał ochoty robić się „Donkiszotem Rzpltej”, zastawiać się za kraj, z którego o rad był coś urwać. Ale miał zamiar wojować z Austrią; rozumiał, że potrafi — przynajmniej zabrać Galicyę...

A z Warszawy Lucchesini woła, że Polacy wrócą do Rosyi. Tego nie chciał Fr. Wilhelm; więc bardziej zmuszony, niż dobrowolnie, zgadza się na układy.

Wojna z Austrią, a z nią odzyskanie Galicyi, staje się odąd jedynym przedmiotem pragnień i zajęcia naczelników sejmowych. Dla niej ma stanąć przymierze, dla niej wywołana agitacja w Galicyi, do niej zmierzają wszelkie uchwały sejmowe...

Niespożitanie zjawiają się trudności dość ciężkie... Trudności wyszły z natury zamierzonego sojuszu, z niemożności związania dwóch państw, których interesa były wprost przeciwnie. Prusy gniotły Rzpltą całym ciężarem swego systemu fiskalnego i owych komor celnych na Wiśle. Pod nimi upadał handel polski. — Król Stanisław żądał uregulowania kwestyi handlowej przed zawarciem przymierza odpornego. Gniewali się na ten warunek naczelnicy sejmowi — ale przystać musieli: król pruski zgodził się na przymierze, ale za traktat handlowy zażądał ustąpienia Gdańska i Torunia. Żądanie to wywołało oburzenie powszechne i głębokie. Lucchesini przeląkł się, iż rzecz cała przepadnie. Począł mataczyć po swojemu, grozić zupełnem odosobnieniem Polski aż mu uwierzono. Król Stanisław z obawy pozostania w krytycznej chwili bez sprzymierzeńca odstąpił od traktatu handlowego i przymierze zawarto. Obie strony przycichły do czasu: król pruski z żądaniem Gdańska i Torunia, Polska z owym żalem na ucisk graniczny — ale kość niezgody między obydwojma sprzymierzeńcami pozostała nienaruszona.

„W ten sposób zakończono tę kampanię dyplomatyczną, poświęcając najważniejsze interesa Rzpltej i narażając przymierze na brak szczerości. Wszystko naprawić miała zdobycz Galicyi!...”

Umowa Reichenbachska (między Austrią i Prusami) zadała pierwszy cios przymierzemu polsko pruskiemu... Rzplta spostrzegła, że Prusy nie są tak silne, żeby mogły, jak mniemano, dyktować prawa Europie; król pruski przekonał się, że sprzymierzeniec jego na nic mu nieprzydatny. Z obu stron nastąpiło rozczarowanie. Ale że była jeszcze perspektywa wojny z Rosją, więc na tej kanwie snuto dalsze plany.

Zbytني pociąg do neutralności, okazany w ciągu układów reichenbachskich, ciężko dał się Polsce we znaki. Żłowano — i pod wpływem tego uczucia powstała myśl związania się z Turcją — przyczem zamyślano o otwarciu drogi dla handlu czarnomorskiego... Zamiar był dobry, lecz nie odpowiadał siłom: w braku własnych musiano znowu oglądać się na króla pruskiego. Spółcześnie zwrócono uwagę na Szwecyę... Z dwu stron prowadzono układy, lecz zatrzymywał je jakiś prąd nieprzyjazny, starannie ukrywany. Dostrzeżono w końcu, że te przeszkody pochodzą od jedynego sprzymierzeńca Rzpltej, króla pruskiego, który nie chciał jej dozwolić, aby na jakimkolwiek wzmocniła się punkcie, dopóki mu nie odda Gdańska i Torunia!

Z tą więc sprawą należało się naprzód załatwić. Interwencya angielska przyszła w samą porę. Za stratę Gdańska i Torunia ofiarowała ona swoje pośrednictwo u króla pruskiego, swój handel zyskowy, a w końcu i traktat polityczny!... Stanisław August zrozumiał donośność angielskich propozycji, o ile stanowisko jego na to pozwa-

lało, dopomagał do pomyślnego zakończenia neogocyacji. Naprawdę! Sejm, choć dwa razy zastanawiał się nad tą sprawą, nie zdołał w sobie stłumić wstrętu do przykrych, ale koniecznej ofiary — i układ, w danych okolicznościach jedynie zbawienny, nie przyszedł do skutku...

Słaby i nieudolny w tej pierwszej próbie, w której o wojnę chodziło, sejm okazał się dziwnie nieumiejętnym i nieprzezornym, gdy rzecz szła o najprostszą polityczną arytmetykę. Mając jedynego sprzymierzeńcę, który mógł dopomóc, nieczem go nie chciał za to zapłacić i odrzucił związki z państwami (Austrią i Anglią), które miały dość siły, aby tegoż sprzymierzeńcę, do czasu przynajmniej, w wierności dla Polski zachować. Pełną niestatecznością i niekonsekwencją w polityce tego sejmu; nigdy środki użyte nie szły w parze z zamiarami, a jeden zamiar zdawał się drugi wykluczać. Bo chciał zbroić się, jak to było głównem jego zadaniem, a pierwej jeszcze rząd istniejący obalić i tem samem owo zbrojenie brakiem rządu utrudnić; głosić z przesadą swoją niepodległość, a do jej obrony wystawić armią na papierze, albo też ruchawkę; złamać traktaty, obrazić sąsiada i moźnego sąsiada i nie sposobić się do poważnego z nim obrachunku; przechylić się na stronę najchciwszego z monarchów, a zaufać jego beziinteresowności; podpisać przymierze, które do wojny zmierzało, a potem do niej okazać się nieudolnym i niechętnym; odmówić sprzymierzeńcowi, czego on pragnął najgoręcej, a pomimo to spodziewać się jego pomocy; nie ufać mu, a odrzucić od siebie tych, na których on musiał oglądać się; postawić Rzpltą w najcięższych, zewnętrznych stosunkach, a potem zapomnieć o nich, jakby nic nie zaszło; chciał wewnątrz i zewnątrz dom o jednym czasie naprawiać; wszystko rozpocząć i podać w wątpliwość, poruszyć tysiące trudności, a potem czas marnować nieposkromionem gadulstwem: — taka polityka z pewnością rozumną i energiczną nie jest. To raczej zarozumiała u jednych junakierya, u innych zaściankowa dobroduszość, a w ogóle oplakana nieporadność, owoc stuletniego zgnęśnienia narodu; i to są najboleśniejsze tego sejmu cechy, obok znacznych imion, dobrych chęci i pięknych nieraz ofiar, które z drugiej strony go zdołają.

Oto zapatrywania i pogląd ks. Kalinki na wzmiankowaną epokę.

Ksawery Pałuczani.

KORESPONDENCYA „DWUTYGODNIKA.”

Paryż, 8 października.

Zaczynam z tem zastrzeżeniem, że o Paryżu piszę, lecz nie z Paryża. Co się w wielkiej stolicy dzieje, o tem w wiejskiem, polskiem zaciszu nie wiem, bo choć mi dzienniki przynoszą echa znad Sekwany, to słucham ich z nieuwagą, albo nie słucham wcale. Znajduję się więc w wielkim ambarasie, a trzeba obowiązek spełnić, trzeba z przyrzeczenia się uiszczyć. Gdybym był zły wieści człowiekiem, powiedziałbym, że nic nie obiecałem, że do niczego zobowiązany nie jestem, bo pisać o Paryżu z stron nadgoplańskich — jest zuchwalstwem, jeżeli nie czemś gorszem. Ale trudna rada, nie każdemu dane w wodach lethejskich czerpać zapomnienie, więc i mnie tutaj, w leniwych marzeniach moich stawały nieraz przed oczyma wyrazy, w ostatniej mej korespondencji zawarte: „Co się zaś tyczy wystawy elektryczności, zwiedzę ją za przyszłym, krótkim pobytym w Paryżu i obszernie się o jej cudach w następującym liście rozpiszę.”

A teraz, gdy o tych cudach przychodzi mi się obszernie rozpisać, z trwogą szukam w mej pamięci, w mych notatkach; notatki chyba mi zabrały komory, z pamięcią co się stało, nie wiem; jest w niej wprawdzie odbity obrazek widzianych rzeczy, ale pod innemi wrażeniami już tak wybladły, tak zamazany, że go bodaj odtwo-

żyć na nowo i uwytatnić zdołam. Więc pamiętam tylko, że byłem, że widziałem, że było to w wigilią mego wyjazdu z Paryża, że wieczorem i w niedzielę, że pod gwiazdzistym niebem w polach Elizejskich wiły się tłumy ludu, że z daleka między drzewami świeciły żyrandole kawiarni *cafés concerts*, a nad niemi wznosiła się, jak olbrzymi skarbusez, szklana kopuła przemysłowego pałacu; że te tyśiączne postaci w półcieniu, że te dolatujące dźwięki muzyki, te jasne i jakby mroźne księżycowe światła lamp elektrycznych dziwnie nastrojały umysł, unosiły go w inne światy, pomiędzy mary, gdzie z łatwością wyobrażać sobie mogłem, żem zpoza Erebu zszedł do szczęśliwej krainy dusz, że do mnie Aleksander, Kato, lub nawet Platon przemówią. Już kiedy marzyć, to marzyć! i nie o byle kim! Lecz czy w dawnych polach Elizejskich, wyżej wspomniani, wielcy mężowie jeździli omnibusem i to elektrycznym omibusem?... niech już o tem kulturtregerzy niemieccy rozstrzygną; jeżeli tak, toć to człowiekowi zaszczyt być w takiej kompanii; jeżeli nie, to zawsze tę wyższość będę miał nad nimi, żem się z Place de la Concorde do głównego wejścia wielkiej nawy pałacu tym sposobem przedostał. Omnibusem tym, jednak wyznać muszę, już pewnie Poznańczycy przede mną się przejechali, bo jest to system kolei elektrycznej Siemens'a i Halske, w roku 1879 na wystawie berlińskiej próbowany. Po szynach żelaznych sunie się wagon, nie wiadomo, jaką siłą pchany, albowiem prąd potężnej maszyny dynamo-elektrycznej, sznurkiem metalicznym przeprowadzony, ciągnie się niewidzialny w odległości mniej więcej pół wiorsty. Żeby taka przeprawa była nadzwyczaj szybką, tego nie powiem, gdyż że dwa razy musieliśmy przystawać i przez przechodniów byliśmy prześcignięci. Za to widok w głównej nawie pałacu sownie za oczekiwanie i cierpliwość wypłaca. Tam leją się światła w złotych, srebrzystych i purpurowych potokach, a oko, na wstępie olśnione bijącą luną, prędko się do jej łagodnej światłości przyzwyczaja. W środku dziedzińca ogromna latarnia, rozstrzelując swe promienie w różnobarwnych kolorach tęczy, zwolna nad sztucznym obraca się basenem. Woda się mieni, a po niej lekko, z cicha, unosi się, jak czarna jaskółka, skrzydełkami o powierzchni bijąca, elektryczna łódka. Rzekłbyś, świątynia, na zaczarowanym jeziorze, w zaczarowanym gaju, bo tuż po brzegach rośliny, krzewy, kwiaty bujnie wyrastają pod wpływem elektrycznego światła, silnie oddziałującego na rośliny. Naturalnie Francja zajmuje tu wszędzie pierwsze miejsce. Widać, że nie wszystkie narody szczytą się tą starą gościnnością, a mianowicie tą staropolską gościnnością, która gospodarzom skromność i zaprzanie się samych siebie nakazywała. Francja zatem obejmuje sama pół obszaru ogólnej wystawy; drugą połowę świat cały dzielić się musi. Po Francji następują Stany Zjednoczone, Anglia, Belgia i Niemcy, których rezultaty widoczne są w wykończeniu i praktyczności. Rosja pochwalić się może dość obszernym katalogiem, któremu jednak nie odpowiada rzeczywistość, ale Chiny i Japonia, biorące także udział w wystawie, jeszcze jej nie dorównują. Nim do sal głównych czytelnika zaprowadzę, niechaj ze mną powiedzie okiem po dziedzińcu. Olbrzymia latarnia wciąż się jak słońce obraca, w oddaleniu potężne motory Gramme'a i inne szemrzą, huczą, jęczą głosami wielce szumiącego morza, jak mówił niegdyś Homer. Nad pawilonami powiewają chorągwie i w tem jaskrawem oświetleniu, niby śród pięknego, majowego poranku, przesuwają się tysiączne i tysiączne sylwetki, krzyżują się wykrzykniki, które, jak owe światła, zlewające się w jedną białosć, tak one choć w najrozmaitszych mowach i narzeczach, ogólnie tłumaczą się wyrazem podziwu lub zdumienia. Ludzkość czuje bowiem, że nowy świat otwiera się przed nią, że jak para w dziewiętnastym wieku przeistoczyła stosunki społeczeństwa, tak w dwudziestym elektryczność odłoni jej może nieprzejrzane dzisiaj tajniki, że ta światłość setnych lamp białych jest dopiero tajemniczym świtanie zwiastować się mającej jutrzeźki. Teraz przenieśmy się schodami zewnętrznymi do galerii pierwszego piętra. Najprzód od wchodu sala teatralna: scena doskonale oświetlona, najmniejsze szczegóły się

uwytatniają; perspektywa dekoracyi w tem białem oświetleniu zyskuje na głębokości i powietrzu. Tuż obok galeria obrazów z ostatniej wystawy, w najkorzystniejszych warunkach także się widzom przedstawia; dalej cały apartament, w którym elektryczność do wszelkich potrzeb domowych zastosowana: pokój jadalny, salon, kuchnia, łazienki; i tak z sali do sali wciąż przesuwają się nam nowe cuda przed oczyma. Tu zakłady fotograficzne pp. Lubert'a i Pierre Petit; tam wyroby galwanoplastyczne Christoff'a, tam znowu zdawałoby się, żeś w gaju, od słowików ulubionym; wszędzie nad głową, wokoło ciebie, za tobą, przed tobą, odzywają się harmonijne śpiewy ptaków magicznych, delikatne tryle, w oddaleniu łączące się z dźwiękami fortepianu elektrycznego lub pyrofonów. Słowo więc o pyrofonach, czyli o śpiewających ogniach. W tubach kryształowych oddzielne płomienie wydają dźwięk akordowy tak długo, dopóki zawarte w trzeciej części wysokości tuby (rachując od podstawy) nie zespółą się razem. Wtenczas muzyka natychmiast ustaje. Nowy ten instrument, przeznaczony do wielkiego powodzenia, przybiera rozmaite kształty; może zastępować organy, może także, wisząc u sklepienia, lub pod złożonemi sufitymi sal balowych, wraz ze światłem rozlewać harmonję. Taki jest pyrofon pana Kastner'a. Prawda, że w praktyce trzeba mu będzie nadać stałą formę, boć trudno sobie wystawić artystę między niebem a ziemią, lub na drabinie po tubach szklanych, jak po klawiszach, na organach i fortepianie wygrywającego. Nim ostatecznie wystawę opuszczę, zaprowadzę jeszcze czytelniczki do sal Edison'a. Edison u progu jeszcze życia, gdyż amerykański wynalazca trzydziestu trzech lat jeszcze nie liczy, a w tak krótkim czasie zjednał sobie całego świata sławę. Trzebaby arkuszy, aby opisać część tylko przedmiotów, w dwóch jego salonach zawartych. Wymieniać będę po kolei: telegraf poczwórny, który pozwala na jednym i tym samym drucie parę depesz w dwie przeciwne strony wysłać; telefon wydoskonalony, magneto-telefony, fonografy i elektro-monograf, ostatni wynalazek tego nadzwyczajnego człowieka. Tu już głos ludzki z najdalszej przestrzeni dochodzi nas w naturalnem swem brzmieniu, tak, jak gdybyśmy w tym samym pokoju rozmawiali. Co najwięcej zadziwia, to, że Edison sam sobie wszystko winien, sam się wykształcił. Do dwudziestu lat sprzedawał dzienniki, dwa lata potem już miał drukarnię i sam takowe drukował. Później urządził telegraf. Dzisiaj dlań, zdaje się, już nic nie ma niemożliwego, a jednak natura odmówiła mu jednego z najpotrzebniejszych zmysłów; Edison jest głuchy.

Zakończę hołdem, oddanym Polakom, którzy i w tej wystawie niepoślednie zajęli miejsca; już dzienniki tutajsze wspominały o telefonie p. M., ale po nim wyliczyćby można i inne imiona, tylko nie chcę ziomek zanedo wychwalać, bym miary nie stracił, jak jedna z znajomych mi szlachcianek, która krewnego, jakiegoś malarza, w Paryżu w „salonie“ obraz przedstawiającego, pod niebiosą wynosząc, taki o nim ostateczny sąd wydała: „w tem paryżkiem muzeum on najpierwszy.“ W.

KRONIKA MIEJSCOWA.

Cicha nasza stolica ożywiona w ostatnim czasie została powrotem po pięć miesięcy niebytności trupy dramatycznej, w której personale pozachodziły niejaki zmiany, a mianowicie przybyli nam pp. Królikowscy i p. Cieślińska, rokujący dobrych przy wyrobieniu się artystów. Przedstawienia już się rozpoczęły, a dawano sztuki, które publiczność pierwszy raz oglądała na naszej scenie: *Biedni* Leopolda Szwedzkiego i *Grube Ryby* M. Bałuckiego. — Z miasteczek prowincyi raz po raz dochodzą nas także wiadomości o przedstawieniach amatorskich, które urządzają po większej części Towarzystwa Przemysłowców, a na które licznie zawsze zgromadzeni goście tak z miejsca samego,

jak z okolicy, okazują w ten sposób swoje zadowolenie i dają poparcie. Dobra jest taka zabawa i rozrywka dla ludzi pracujących cały tydzień ucziwie, skromna i niekosztowna, bo nawet ze zebranych przy kasie pieniędzy zostaje coś zawsze po opłaceniu poprzednich wydatków na jakiś cel dobroczynny, a w każdym razie rozrywka to więcej umysłowa i szlachetniejsza, choćby i po przedstawieniu młodzi potańczyli trochę, aniżeli owe niedzielne zgromadzenia po szynkach i knajpach. W ogóle oświata i jaśniejsze pojmowanie stosunków, rozumienie życia i obowiązków coraz bardziej rozwija się pośród klas przemysłowych, w czym zasługa naszego wzorowego duchowieństwa i wyżej postawionych obywateli, co około tej pracy nie szczędzą trudu i zabiegów. Znakomite odczyty, odbywające się regularnie dla polskich przemysłowców w Poznaniu, również książki i pisma peryodyczne, uwzględniające ich potrzeby i wymagania, także nie mało się przyczyniają do tego pocieszającego objawu. Ileż to razy, spotykając przed wieczorem na ulicach wracające tłumy z fabryki, od roboty, widzi się w ręku każdego niemal robotnika „Gońca Wielkopolskiego“, lub inną, przystępną dla nich gazetę! Zatrzymują się, czytają, rozprawiają, a miły ten widok napenia serca radością i nadzieją lepszej kiedyś doli, skoro na nią zasłużyć, zapracować pragniemy.

Śliczna od tygodnia przeszło pogoda dozwala mieszkańcom naszego miasta używać jeszcze świeżego poza murami forticy powietrza, to też codziennie, zaraz z południa, liczne gromadki szczęśliwszych, swobodniejsze pędzących życie, ożywiają ulice, dążąc za miasto korzystać z ostatnich zapewne pięknych dni jesiennych. — Do ożywienia i zainteresowania umysłów naszych w ostatnim czasie policzyć wypada wystawę obrazów Makarta w tutajszej miejskiej sali gimnastycznej na Zielonych Ogrodach. Wystawa trwała tylko dni kilka; pokazywano pięć oddzielnych obrazów, mających przedstawiać pięć zmysłów, a przez to razem całość jakąś stanowiących. Na każdym obrazie znajduje się postać kobieca, piękna, postawą i wyrazem twarzy mówiąca, co ma okazywać, ale nie wiedzieć czemu bez ubrania, bo draperya nietylko by nie popsuka efektu, ale dodała wiele poetycznego uroku. Tylko pędzel wiedeńskiego malarza podziwiać trzeba koniecznie: co to za olśniewający, wspaniały koloryt! jakie plastyczne uwydatnienie przedmiotu w najdrobniejszych szczegółach, zgięciach i fałdach! jak znakomite cieniowanie! Nie da się to wszystko wypowiedzieć słowem, trzeba oglądać i uznać mistrza — ale... mistrza efektów tylko. Jak powiedziało się wyżej, brak tym arcydziełom pędzla jakiegoś podnioslejszego, wyższego, poetycznego piękna; realizm; niesmaczny realizm zaciera tu wszelką myśl szlachetną, a przeciw w malarstwie, tak jak w poezji, forma nie wszystko jeszcze stanowi. Sławny Hans Makart jednak lubuje w obrazach tego rodzaju, w jego utworach znajdujemy zawsze wiele bardzo dla oczu, zbyt mało dla delikatnego uczucia i zbudowania. Obok tych pięciu oryginałów wystawiono jeszcze fotografie znacznej liczby obrazów tegoż malarza, fotografią jego samego i wnętrza jego pracowni.

Tutajszy zakład kandydatów na organistów, utrzymywany przez p. Bolesława Dembińskiego, dyrektora muzyki w naszej katedrze, podnosi się i rozwija pomyślnie; świadczy o tem wymownie odbyty dnia 5 b. m. na chórze kościoła farnego ustny i techniczny popis kandydatów, którzy tak z praktyką, jak z teorią potrzebnego im wydziału muzyki obeznani zostali gruntownie i chlubę przynieśli swojemu nauczycielowi. Zakład p. D. wielkie oddaje społeczeństwu usługi, bo pozwala się spodziewać, że wkrótce nawet po naszych ubogich, wiejskich parafiach odpowiednio ukształconych mieć będziemy organistów. Kurs nauki w zakładzie trwa tylko 6 tygodni, a opłata bardzo umiarkowana.

Donosiliśmy w ostatniej kronice ukończonego rocznika, że nowe księgarnie powstać mają niebawem w naszym mieście, że jednej z nich kierowniczkami będą kobiety, tymczasem, jak to często zdarza się u nas, skończyło się na projekcie, bo nieprzewidziane okoliczności przeszkodziły jego spełnieniu. Nowym, ale także dotąd nieureczywistnionym projektem, jest otworzenie p r z e m y ś ł o w e g o z a k ł a d u d l a P o l e k.

Myśl tę powzięła p. Wanda Karłowska, utrzymująca już od lat kilku pracownię robót kobiecych i szwalnię na większą skalę. Uczennice pobierać mają lekcje krawiecczyni, białego szycia, znaczenia bielizny i wszelkich żądanych robót ręcznych; zamiejscowe znajdą wygodne pomieszczenie i troskliwą opiekę w zakładzie, a doświadczenie i sumienna, znana ogólnie akuracność przełożonej są rękojmią, że czynione obietnice nie zostaną czczym wyrazem. Społeczeństwo żywo zajęło się też z razu tym projektem, mówiono o nim wiele, a jednak z braku dostatecznej liczby uczennic zakład dotąd nieotwartą. Byłaby to obojętność i lekceważenie praktycznej strony w wychowywaniu naszych panien? Przecie nawet obok wykształcenia przyda się zawsze kobiecie znajomość z igłą i ręczną robotką, nie mówiąc już o tych, którym w naszych trudnych stosunkach zajęcie to stać się może najłatwiejszym środkiem zarobkowania. Mamy też nadzieję, że zakład projektowany przyjdzie kiedyś do skutku, wtedy obszerniej rozpiszemy się o jego zadaniu i różnych warunkach, tymczasem zaś składamy mu w tej myśli napróżd serdeczne, przychylne życzenia i staropolskie „Szczęść Boże!“

KRONIKA LITERACKA I RZECZY BIEŻĄCE.

— Droga krzyżowa Kościoła św. katolickiego w pierwszych trzech wiekach, obrazowo przedstawił X. Władysław Woliński, proboszcz w Oporowie. Wydanie drugie, pomnożone i rycinami ozdobione.

Podajemy zakończenie wstępu, określające cel tej książki. „Do pokrzepienia twej ufności, narodzie, w potęgę i trwałość Kościoła naszego świętego, do wzmocnienia w tobie przywiązania ku tej Matce naszej duchownej, która nas odrodziła, wychowuje i pielęgnuje ku żywotowi wiecznemu, do wiania ci odwagi, abyś zawsze stał mocno przy sprawie świętej Kościoła św., ma posłużyć niniejsza książeczka. Znajdziesz w niej opisane ciężkie przesładowania, jakie Kościół nasz św. przecierpiał od żydów, pogan, cesarzy rzymskich w pierwszych trzech wiekach istnienia swego; znajdziesz tu przedstawioną tę długą, bo trzysta przeszło lat trwającą, walkę wiary chrześcijańskiej z pogaństwem, która się zwycięstwem chrześcijaństwa zakończyła.“

Z zadania tego wywiązał się autor po mistrzowsku. Opowiadanie jest jasne, wdzięczne i nadzwyczaj zajmujące, tak, że książkę tę czyta się, jakby najpiękniejszą powieść. Posiada ona nadto tę ważną, a rzadką zaletę, że mogą ją czytać wszyscy bez wyjątku, tak starzec, jak dziecię. Szczegółowo polecamy ją usilnie naszym czytelnikom, przesuwają się tu bowiem cały szereg świętych matron i dziewic. Są to prawdziwe ideały, nie przez poetów wysnzione, ale rzeczywiste, historyczne. Spotykamy tu najprzód świętą Domicylę, która Bogu poświęciła dziewictwo, następnie rozrzucający opis stałości w wierze i męczeństwa św. Zofii z trzema córkami.

Św. Symforya z siedmiu synami to prawdziwa chrześcijańska matka Machabeuszów.

O św. Felicycie, także z siedmiu synami, mówi autor, że ją Kościół św. wskazuje wszystkim matkom, jako najpiękniejszą i najwznioślejszą wzór do naśladowania. Na tem to tle przecie osnuł przeliczny swój dramat Odynieć.

Dalej następuje wiele innych świętych niewiast, z nich na ostatku św. Helena. Jest to zatem iście wspaniały zastęp, który, jeżeli kiedy, to dziś powinien wywierać wpływ pożądany.

„Książka dobra w domu“, mówi autor, „to istny apostoł w domu i po domach; ona rozpędza ciemności uprzedzeń przeciw Kościołowi, rozjaśnia wyobrażenia, pobudza do cnoty i życia pobożnego.“ Otóż te słowa można zupełnie słusznie odnieść do pięknej książki X. Wolińskiego.

— Obrazki z życia i prawdy, przez Zofią Rudnicką. Lwów, nakł. księgarni K. Łukaszewicza, 1882. — Książka

ta zawiera 233 stronice, a cztery powiastki: Marysia Stecka — Nie zawsze trzeba wierzyć — Nina — Branka turecka. Wszystkie nakreślone, jak tytuł słusznie powiada, z „życiem i prawdą“, a gładkim, potoczystym stylem, czytają się z rzeczywistą przyjemnością i zajęciem. Pierwsza mianowicie, osnuta na tle ludowym, to istna idylla, pełna poetycznego i szczerzego uczucia. Druga wskazuje, że temu tylko szczęściu zaufać można, które jest nas najbliższe, choć się niezawsze na niem poznajemy. W trzeciej znajdujemy przestrożę dla młodych mężatek, aby się miały na baczności i strzegły marzeń zbyticznych, bo łatwo uleść pokusie, a potem chwilę mniemanego szczęścia gorzko całem opłakiwać życiem. Powiastka ostatnia ma być opowiadaniem prawdziwym, wziętem z podań rodzinnych. Autorce nie możemy odmówić talentu zajmującego rzeczy przedstawienia, zwłaszcza, że tytuł „obrazków“, nie pozwalając czytelnikom spodziewać się wielkiego założenia i odpowiedniego — z jednolitemi, przeprowadzonymi konsekwentnie od początku do końca charakterami — rozprawdzenia, odpowiada wybornie tym wdzięcznym sylwetkom.

— **Wincenty Pol, jego młodość i otoczenie (1807—1832.)** Lwów, nakł. Gubrynowicza i Schmidta, druk W. Łozińskiego 1882. — Jest to dzieło K. Estreichera, podające nieznanne szczegóły z młodości poety, a stąd bardzo zajmujące. Znajdujemy tu prócz tego wiele młodociańskich perycji Pola. Rzecz cała godna czytania i bliższego zastanowienia.

— **Pan W. Gasztowt** przełożył znowu na język polski kilka Trenów Kochanowskiego; czytaliśmy tren VIII w ostatnim zeszycie „Przeglądu Polskiego“ i zapewnić możemy, że tłumaczenie jest znakomite, bo nawet zachowana rytmiczna śpiewność oryginału.

— **W Warszawie**, w sali i ogrodzie Doliny Szwajcarskiej urządzoną była od dnia 20—25 września pierwsza ogólna wystawa ogrodnicza w kraju, a zwiedziło ją kilkanaście tysięcy osób.

Najwspanialej przedstawił się dział roślin, kwiatów i drzewek; podziwiano bukiety, poduszki, wachlarze i biżuterię z kwiatów. Najpiękniejsze okazy w tym dziale wystawiły stare, ogrodnicze firmy warszawskie: C. Ulricha, braci Hoserów i braci Bardetów; z osób prywatnych: hrabina Potocka z Wilanowa i Natolina i hr. Branicki. Ostatni nadesłał pyszną kolekcję drzew owocowych, karłowatych: były to średniej wielkości doniczki, a w nich gałęzie obficie pokryte olbrzymimi owocami. Z naszych wystawców odznaczył się także starannym zbiorem pięknych owoców pan Edward Donimirski z Prus Zachodnich, który pomiędzy wielu innymi otrzymał za to medal brązowy. Tylko dział warzyw był bardzo skromny i nie odpowiadał oczekiwaniu. Wystawa jednak w ogóle przedstawiała się bardzo wspaniale i jako taka wszędzie mogłaby być podziwiana.

— **Pani H. Modrzejewska** podróżuje obecnie wraz z całym artystycznym towarzystwem po Anglii; zimą ma przybyć na kilka tygodni do Warszawy, a w przyszłej jesieni, jako od dawna zaangażowana, wybiera się na trzy lata do Ameryki i do Australii.

zburzone, kołysząc nami nielitościwie, nie pozwalało zająć się czemkolwiek. Kilka stad latających ryb przesunęło się ponad wysokimi bałwanami, a jedna zabłądziwszy nocą na nasz pokład, została schwytana i zachowaną w spiżarni. Piękne pletwy tych ryb zdala błyszczą przy świetle słońca i zdają się delikatnej, filigranowej roboty.

Posuwaliśmy się szybko, powietrze było gorące, lecz nie duszne, odświeżone lekkim powiewem. — W południe mieliśmy słońce zupełnie wprost nad głowami. Dla żeglarzy trudno tu dopatrzeć gdzie południe, tak słońce dziwacznie zdaje się kręcić na wszystkie strony. Zbliżyliśmy się do wysokiego łądu św. Antoniego, jednej z wysp przyłądku Zielonego, a wkrótce potem do niższej wyspy św. Wicentego. Nie wiedząc, czy na wyspach tych nie gości żółta febra, mój mąż, Tom, nie chciał się zatrzymać, aby następnie nie być skazanym na kwarantannę w Rio de Janeiro, jednakże zwołał trochę biegu parowca naszego i zatrzymaliśmy się przy Berd rock. Jest to bardzo mała wyspka ostrokątna, zamieszkała przez tysiące morskich ptaków. Żadne inne stworzenie nie zakłóca jej spokoju, to też ptastwo gnieździ się licznie.

Miasto Porto Granda, złożone z rzędu białych domków, umieszczonych nad samym brzegiem morza u stromej skały, wygląda czysto i sympatycznie o świetle wieczoru. Za dnia musi być tam okropnie gorąco, gdyż nie ma ani jednego drzewa, ani rośliny, pod którą można by się schronić przed promieniami słońca. Nadto woda tu niedobra i niezdrowa, a wszelkie zasilki dla okrętów bywają sprowadzane z wysp innych. Jest to jedna z większych stacji okrętów, przywożących węgle, chociaż od otwarcia kanału Suezkiego mniej ich przejeżdża tą stroną. Na tej szerokości geograficznej trudno się ośwoić z brakiem brzasku i zmroku.

Dziś rano o 4-tej gwiazdy świeciły jasno, dziesięć minut później dzień zaczął przebijać, a już o pół do 5-tej słońce jaśniało na horyzoncie i oświecało gór wierzchołki. Przybyliśmy do zatoki Tarafal, miejsca najmniej obiecującego zasilku dla okrętów. Wysokie, skaliste góry, piaszczyste stoczystości, czarne, wulkaniczne wybrzeża tworzyły obraz zniszczenia, wśród którego jakby zjawisko wychylał się biały domek o czterech oknach, pokryty dachem słomianym, otoczony małą plantacją cukrowej trzciny i kokosowych orzechów. Wkrótce zaszła dla nas miła niespodzianka. Zaledwo zaczęliśmy jeść śniadanie, gdy na pokładzie naszym zjawił się posiadiciel białego domku i z wielkim naszym zdziwieniem dowiedzieliśmy się, że nie tylko bardzo dobrze mówi po angielsku lecz jeszcze, że dostarczy nam wszelkich zapasów, jeżeli zatrzymamy się do 3-ej po południu. Godząc się chętnie na życzenie uprzejmego gospodarza, skorzystaliśmy z chwil wolnych, aby wysiąść na ląd. W trzy godziny łodzią, wiosłowaną przez Murzynów, dobiliśmy do brzegu, lecz przy pierwszym stągnięciu na ziemię nogi wpadły nam w gorący, czarny piasek, złożony całkowicie ze składów wulkanicznych, zmieszany z małymi krzemieniami i odrobinami bursztynu. Z największym wysiłkiem doszliśmy do stawu, otoczonego palmami, a idąc dalej, natknaliśmy kilkadziesiąt chat, pokrytych słomą, kształtem i okrągłością podobnych do kószek na pszczoły.

Dom biały, a położony nad strumykiem, stosunkowo bardzo jest chłodny. Poniżej niego ciągnie się maleńki ogródeczek, pełen prześlicznych kwiatów. W dali nad strumykiem w baliach z żółwich, morskich skorup prały, gwarząc, czarne Murzynki, wśród których kręciły się ośwojone żorawie. Całość miała coś malowniczego, to też jeden z panów odziedzicował ją, a ja zdjęłam fotografię. Murzyni o wełnistych włosach, białych zębach, figlarnych, szatańskich oczach wszelkich odcieni, od ciemno żółtych do hebanowo czarnych, po części wysocy na 6 stóp, schodzili się kolejno, znośząc na sprzedaż żywność wszelkiego rodzaju. Jeden owcę, drugi dojną kozę, inny świnkę, kaczki, kurczęta, orzechy kokosowe, papaye, mango, rzęchuchę, kapustę, ziemniaki, banany, setki jaj, plasty miodu i najrozmaitsze ryby, niektóre wyborne pod względem smaku, a tak ładne, że żal było je zabijać. Błyszcząca, złota ryba, ciężka 3 funt. i podobna zapachem do szarego suma morskiego była prawie naj-

PODRÓŻ OKOŁO ŚWIATA NA YACHTIE SUNBEAM

czyli

ROK ŻYCIA FAMILIJNEGO NA MORZU

przez

PANIĄ BRASSEY.

Tłumaczone z angielskiego w wyjątkach.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ III.

Wyspy Zielonego przyłądku i dalsza podróż z Palmy do Rio de Janeiro.

25 lipca. Noc była spokojna, o brzasku widzieliśmy jeszcze Palmę; z rana wiatr się wzmógł, morze gwałtownie

smaczniejszą. Ceny tych wszystkich produktów były jak najrozmaitsze, za kurczę żądano 1 szyling, za kaczkę 5 sz., za owcę 10 sz. Za to owoce, warzywo, kwiaty, oddawano za becen, za przyniesienie zaś wody, którą nasza służba czerpała, wzięwszy do pomocy tylko czterech, czy pięciu Murzynów, zażądano 3 funt. szt. *) 18 szylingów.

4 Sierpnia byliśmy tylko na 289 mil morskich oddaleniu od Sierra Leona, około więc południa Tom postanowił puścić statek pełnym biegiem, a że ster doskonale umiano utrzymać, podróż wiodła nam się jak najlepiej. Ciepło wody dochodzi 82° nawet o wczesnym ranku; promienie słoneczne nie oddziałują na zmianę takowej w pasie równikowym, gdyż wśród dnia termometr nie podniósł się wcale.

8 Sierpnia. O brzasku przebyliśmy równik, a jak zwykle w takich razach, wśród słońcu i żartów. Żałono włos w szkła teleskopu, aby nieświadomych złudzić, iż rzeczywiście widać linią oznaczony równik, czemu niejedni z majtków uwierzyli, klnąc uroczyście, że na własne oczy widzi graniczną linią. Allein, najsilniejszy, najpierwszy majtek, zwolennik żartów, przebrał się za Neptuna, w niebieskim ubraniu, z brodą i peruką z paku, z koroną ze złotego papieru został posadzonym na małej armacie z rybą i trójkątem w rękę; obok maszynista w futrze i czapce, wywróconej na przeciwną stronę, z białą przypiętą brodą, z pudełkiem pigułek w rękę równie dobrze przedstawiał doktora Jego królewskiej Mości Marynarki, za panią zaś przebrano w suknie najmłodszego z majtków.

Zaraz po przebyciu równika spotkaliśmy gromadę ogromnych ryb czarnych na 25 stóp długich, coś między delfinem a wielorybem, z najbrzydszą w świecie paszczą. Ryby te nadzwyczaj są żarłoczne, dzikie; zaczepiają nie tylko delfiny, haje, delfiny szabligrzbietowe, ale nawet wieloryby, dwa razy tak wielkie, jak one. Ryby latające także pokazywały się nam po kilka razy, zapewne z głębi wygnane przez delfiny. Skrzydła czyli pletwy mają znacznie większe i silniejsze od tych, cośmy dotąd spotykali.

14 Sierpnia. Podróż między zwrotnikami nader jest przyjemną; o tej porze roku płynąc ku zachodowi, ma się prawie ciągle wiatr sprzyjający, powietrze miłe, spokojne. Nocy ciche i jasne gromadzą zwykle i zatrzymują do późna podróżnych na pokładzie. Statek nasz miał chór śpiewaków w pośród swej załogi znacznie udoskonalony; pieśni ich na tych wieczornych zebraniach brzmiały melodyjnie, tony, w dal się rozchodzące, wywoływały rzewne i wzruszające uczucia.

Bawimy się często na rozróżnianiu gwiazd po ich nazwisku; Vega, nasza gwiazda polarna, przyświeca nam jasno od dni kilku, a południowy krzyż ukazuje się w całej okazałości.

Ujrano dziś w oddaleniu mały okręt, a sądząc po jego poruszeniach, że chce się z nami porozumieć, skierowaliśmy się ku niemu. Był to jednakże tylko statek na wieloryby, gonił grampusy, owe wielkie, czarne ryby, a choć był mniejszy od naszego jachtu, ciągnął pięć ogromnych łodzi. Jedna z nich, pełna ludzi, przygotowana była do spuszczenia, skoro tylko zbliżali się do wieloryba lub grampusa. Morze to obfituje w wieloryby, chociaż obecnie przy spóźnionej porze liczba ich znacznie zmniejszona.

Pod wieczór 16 Sierpnia usłyszeliśmy nawoływania: „Ład przed nami!“ Tom z kapitanem po raz dwunasty weszli na główne wywyższenie i tym razem przekonali się, że powiadomienie było prawdziwe. Widać było przylądek Frio, oddalony od nas na mil 35. — Po piętnastu dniach, spędzonych na morzu, wiadomość o zbliżeniu się do lądu na każdym robi wrażenie. Wybiegliśmy na pokład, a oczy nasze zwróciły się ku latarni morskiej, świecącej znad brzegu. Kolor morza zmienił się nagle, ciemno modra powierzchnia

*) Funt szt. 21 marek.

stała się blade zieloną. Niezliczone małe ptaszki, mole, szarańcza, koniki, napadały na nasz statek, jakby zbliżających się do lądu powitać nas chciały.

Do północy płynęliśmy szczęśliwie, naraz powstał południowo-zachodni wicher, tak gwałtownie poruszający balwany, że podrzucani w górę, kręciliśmy się, lub stali na miejscu. O brzasku, zamiast w porcie, ujrzelśmy się pchnięci ku przylądkowi Frio.

Około 8-mej z rana wiatr się zmniejszył, z pomocą pary i żagli popłynęliśmy wzdłuż brzegu, postępując do pięciu mil na godzinę.

Fale morskie rozbiły się z łoskotem o skały z piaskowca, wyrzucając pianę na dalekie pola, porośnię trziną cukrową i palmami.

Płynęliśmy, trzymając się ciągle w pobliżu stałego lądu, omiając wyspy Maya i Payo, porośnię gajem palm, bananów i innych drzew. Wiatr silny miotał niemi, elastyczne ich gałęzie wyglądały, jak przewrócone parasole.

Przy świetle księżyca krajobraz rozłożył się przed wzrokiem naszym w nieprzejrzaną rozciągłość i prawdziwie majestatycznej piękności. Nad nami niebo czerwone niosło z sobą groźbę burzy, niepowność ta przejmowała nas poważnym i uroczystym nastrojem. Płynęliśmy przez godzin kilka; nim się do portu statek zbliżył, morze się uspokoiło i można było myśleć o wylądowaniu.

Potrzeba było jeszcze przepłynąć ławę piaskową, co zawsze grozi niebezpieczeństwem. Na tę przeprawę pozamykano drzwi i okna kajut szczelnie, a wszyscy ci, którzy nie chcieli być zamknięci, musieli pozostać na pokładzie, gdzie od wyjazdu z Anglii po raz pierwszy rzeczywiście było zimno.

Piękny port błyszczał zdala światłem lamp gazowych, ciągnących się rzędami na kilka mil po obydwóch stronach zatoki, wzdłuż przedmieścia.

Na lewo zostawiliśmy wyspy Rodouda i Raro, z tej ostatniej przyświeca żeglarzom latarnia morska. Bez trudności przebyliśmy ławę i wkrótce wystrzali z fortu Santa Cruz, powtórzone przez fort Santa Luccia, oznajmiły nasze przybycie, poczem wypłynąwszy na zwierciadlaną powierzchnię zatoki, zarzuciliśmy kotwice w okręgu kwarantanny, tuż przy przystani Botofogo, w porcie Niethoroy. C. d. n.

Logogryf

ułożony dla H. P. przez A. Ch. z B...

Z następujących sylab ułożyć dziesięć wyrazów, których znaczenia natepujące: 1) poeta rosyjski, 2) filozof niemiecki, 3) walki, 4) jezioro w Europie, 5) postać w starym testamencie, 6) jarzyna, 7) bożek, 8) zdrajca, 9) postać w historii św., 10) miasto w Azji.

Al, ak, bo, ci, e, e, fi, ga, gław, i, il, je, jew, ki, le, la, men, mi, na, no, ri, ry, sa, sa, ta, tes, tri, ul, za.

Początkowe i końcowe litery, z góry na dół czytane, utworzą dwa nazwiska sławnych fortepianistów.

Rozwiązanie łamigłówki

w nr. 26 pierwszego rocznika.

1. January — 2. Aaron — 3. Nilson — 4. Iwo — 5. Epir — 6. Ziarno — 7. Robak — 8. Oborniki — 9. Lirnik — 10. Izmael — 11. Akeye — 12. Nalewki — 13. Izasław — 14. Zabobon — 15. Semiramida — 16. Ofertoryum — 17. Lont — 18. Ile — 19. Allah — 20. Lewici — 21. Emetyk — 22. Zwierzyniec — 23. Tenesse — 24. Ernani — 25. Gladston — 26. Odoaker — 27. Canova — 28. Oltarz — 29. Taniec — 30. Orion — 31. Biała Góra — 32. Olendorf — 33. Lewkonie — 34. Indult — 35. Ulises — 36. Rafał — 37. Ostoja — 38. Sabinki — 39. Łobzów — 40. Estetyka — 41. Muzeum.

Rozwiązali najpierwsi i otrzymali nagrodę: P. K. Rzepecki w Poznaniu — p. Teresa Morzycka w Bedlewie.

Inne dobre rozwiązania przysłały panie: K. Madalińska, Br. Sikorska, J. Zawadzka, F. Zakrzewska, J. Polomska, J. Kierska w Poznaniu, — Zofia Damska w Zakowie, Franciszka Niezychowska w Nowem, Alexandra Zakrzewska w Linówcu, Halina Brandowska w Krakowie.

Treść: Artykuł wstępny: Żółta okładka przez M. Sz. . . . a — Marya Stuart w historii i w literaturze przez Zoryana (Ciąg dalszy) — Zaufanie. Powieść Henryka James. Przekład z angielskiego. (Ciąg d. nast.) — Sejm czteroletni ks. Waleryana Kalinki przez K. P. — Korespondencya: Paryż — Kronika miejscowa — Kronika literacka i rzeczy bieżące. — Podróż około świata na yachcie Sunbeam czyli rok życia rodzinnego przez panią Brassey (tłom. z ang. w wyjątkach.) (Ciąg dalszy.) — Łamigłówka — Rozwiązanie łamigłówki z nr. 26 pierwszego rocznika.

Za nakład i redakcją odpowiedzialna Teresa Radońska w Poznaniu. — Drukiem J. I. Kraszewskiego (Dr. W. Lebiński) w Poznaniu.